ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK III Nr 15/94 | Londyn, dnia 10 kwietnia 1949 | CENA 9 d.



Florencja, Gal. del Arte Moderna — Fragment obrazu Ant. Ciseri

ECCE HOMO

DANIEL ROPS

Przekład autoryzowany Wojciecha Wasiutyńskiego

DROGA KRZYŻOWA I ŚMIERĆ

KIEDY społeczeństwo ludzkie popełnia najbardziej przerażający akt, do jakiego może doprowadzić sprawiedliwość, odczuwa ono potrzebę pewnej pompy, jak gdyby śmierć, którą ośmiela się uruchomić, nadawała mu najwyższy autorytet. Uroczystość okropna i śmieszna dla ofiary tego rytuału! „Parada egzekucyjna", jak mówi wojskowy kodeks karny każący defilować oddziałom przed rozstrzelanym.

. . . .

Pochód, który się utworzył, musiał nosić charakter pewnej uroczystości: czytamy u Flawiusza Józefa opisy rozmaitych egzekucji dokonanych przez Rzymian — wszystkie są jak najbardziej publiczne. Ale w tym mieście o uliczkach spadzistych i krętych, gdzie wciąż trzeba wstępować lub zstępować po schodach, wśród podnieconego tłumu kręcącego się w okolicach świątyni, wśród mieszaniny gwaru i gestykulacji, nie należy sobie wyobrażać pochodu zbyt regularnego i uporządkowanego, jakiby odpowiadał powadze śmierci. W niedawnej Turcji podróżnik spotykał czasem, przedzierający się [illegible] przez tłumy uliczne Stambułu pochód prowadzony przez wykrzykującego herolda; między żołnierzami szedł człowiek ze związanymi rękami: był to skazaniec, którego miano powiesić.

Trzeba było zredagować tablicę: podjął się tego sam Piłat. ... Wielcy nie gardzili zajmowaniem się tak niskimi sprawami a Piłat mniej niż ktokolwiek inny darowałby taką okazję do wzięcia na Żydach znakomitego odwetu. Na „titulus" napisał po łacinie, grecku i hebrajsku: „Jezus Nazarejczyk, król żydowski". Kapłani żydowscy natychmiast zaprotestowali:

— Nie pisz: Król żydowski, ale że on powiedział: Jestem królem żydowskim.

Prokurator odpowiedział pełen ironii i wyniosłości:

— Com napisał, jest napisane.

Teraz, gdy już nie obawiał się denuncjacji, odnajdywał złośliwość; pozatym, gdyby odpis tej tablicy posłano na Capri, dowiodłaby ona Tyberiuszowi gorliwości Piłata w zwalczaniu kandydatów do tronu.

Pochód się utworzył, z setnikem w łuskowej zbroi na czele a za nim z żołnierzami w kolczugach otaczającymi Jezusa. W tłumie odpychanym ku murom czerwone chlamidy legionistów i ich błyszczące hełmy odcinać się musiały na tle białych, szarych i błękitnych ubrań żydowskich. Wielki gwar połączony ze szczękiem broni towarzyszył ponuremu orszakowi. Wyobrazić sobie można Jezusa, imponującego mimo śladów obrażeń które nosi, wpośrodku tej sceny strasznej, bohatera tej tragedii, której nadprzyrodzone znaczenie on jeden przenika.

W ostatniej chwili administracja rzymska zdecydowała się wysłać równocześnie na mękę dwóch złoczyńców, dwóch bandytów, jeśli greckie słowo Ewangelii wziąć w znaczeniu silniejszym. Dlaczego? Może poprostu dlatego, że nadszedł ich czas i chciano opróżnić więzienie a może był w tym zamiar obrażający względem „króla żydowskiego". Czyż Izajasz nie przepowiadał o Mesjaszu: „Wydany jest na śmierć. Postawiony jest w szeregu złoczyńców" (Iz. LIII. 12). Akta męczenników w początkach chrześcijaństwa niejednokrotnie ukazują chrześcian prowadzonych na stracenie przemieszanych z pospolitymi przestępcami.

Była godzina między jedenastą a południem: „godzina szósta" mówi święty Jan, kiedy pogrzebowy orszak opuścił twierdzę Antonia.

. . . .

Plutarch mówi, że skazani na krzyż musieli nieść sami narzędzie swej kaźni: potwierdza to krótka wskazówka świętego Jana: „Jezus niósł swój krzyż"... Dla człowieka wyczerpanego bezsenną nocą i badaniami, torturą biczowania i upływem krwi jaki to za sobą pociąga, ciężar krzyża musiał przekraczać kres jego sił. Kwiecień jest już bordzo gorący w Judei, zwłaszcza koło jedenastej rano. Skazaniec musiał wspinać się i zstępować po stromych uliczkach. Czy setnik obawiał się, że jego ofiara uniknie kaźni przez przedwczesną śmierć? Nie podając przyczyny tego postanowienia ewangelie synoptyczne powiadają, że żołnierze zarekwirowali jakiegoś przechodzącego człowieka, by niósł krzyż Jezusa. Powracał on z pola, pewnie z ogrodów Gareb: Pascha jeszcze się nie rozpoczęła i praca nie była zakazana. Nazywał się on Szymon z Cyreny, może Grek z tego słynnego miasta afrykańskiego, stolicy Cyrenajki, może członek potężnej gminy żydowskiej jaka tam istniała.

. . . .

Wzdłuż tej bolesnej drogi towarzyszył Jezusowi „wielki tłum ludu" (Łuk. XXIII, 27). Egzekucje aż nadto przyciągają niezdrową ciekawość a nic dziwnego jeśli w pięć dni po triumfalnym wjeździe w Niedzielę Palmową wieść o skazaniu poruszyła opinię. Cała Jerozolima o tym wiedziała — powiedzą uczniowie w Emaus. Byli tam napewno nie tylko sadystyczni gapie w tych grupach rozciągniętych wzdłuż ulic, którymi posuwał się orszak, musieli tam być także sympatycy, przyjaciele i wierni. A jednak wydaje się, że nie padł ani jeden okrzyk, nie próbowano najmniejszej manifestacji na rzecz Jezusa. Prawo żydowskie przewidywało, że aż do ostatniej chwili interwencja jednego choćby członka społeczności mogła zawiesić egzekucję skazanego... Tak więc smutny pochód przebył czterysta metrów drogi, tłum słyszł woźnego Sanhedrynu, jak powtarzał formułę: „Jeśli chcecie dowieść niewinności Jezusa, śpieszcie się!" (przypuściwszy, że ten przepis Zakonu był zachowany), a nikt nie wykonał żadnego gestu, nikt nie wykrzyknął jednego słowa. Ta obojętność wydaje się potworna a zwrot niezrozumiały. Pięć dni temu chwała, frenetyczne okrzyki, a teraz... Ileż jednak przykładów znamy z historii o ludziach, których tłum wynosił na szczyty uwielbienia by ich opuścić równie nagle z zupełną niewdzięcznością.

U jednych rozczarowanie wobec ugięcia się Jezusa przed spodziewanym gwałtem, u innych podła ciekawość cudu wciąż jeszcze możliwego i nienawiść prawdziwej wielkości drzemiąca w nędznym sercu człowieka: miało się większe zmartwienia niż próbować ratować tego proroka uparcie dążącego do własnej zguby! Trzeba się spieszyć z kupieniem chlebów i ciastek, fig i daktyli, mięsa i jarzyn na biesiadę paschalną: wieczorem o szóstej zaczyna się wielki sabbat i będzie zapóźno!

. . . .

Pochód przekroczył bramę Efraimską i po kilku krokach przybył na szczyt wzgórka Łysego. Kaci zabrali się do roboty. ...Zaczynano od przybicia rąk skazańca do krótszej belki, tej którą musiał on nieść, następnie przez system bloków lub przy pomocy zwykłej liny wciągano belkę wraz z jej ładunkiem na słup pionowy, który być może pozostawał na stałe wkopany na miejscu kaźni. Właściwa pozycja krzyża była osiągnięta z chwilą gdy kołek podparcia wcisnął się między uda ofiary i podparł ciało... To podciągnięcie poprzecznej belki, na której wisiał skazany musiało być szczególnie bolesne.

Nim przystąpiono do egzekucji podano Jezusowi wino zmieszane z mirrą. Było to starożytnym zwyczajem u Żydów: „Dajcie mocny napój temu, który ma zginąć' mówiło jedno z przysłów (Przysł. XXX, 6); zwyczaj ten zachowuje jeszcze ceremoniał francuski, który każe dać szklankę rumu człowiekowi, który ma być zgilotyzowany... Dokładne i wymowne teksty ewangeliczne notują, że Jezus odmówił tego napoju: śmierć jaką przyjmował była z tych, z którymi nie można szachrować.

. . . .

TORTURA zaczęła się. Z początku mając jeszcze siły skazaniec reaguje na skurcz tężcowy dławiący mu pierś: za cenę strasznych rozerwań usiłuje wznieść się na stopach by oddychać. Potym stopniowo opór słabnie: ramiona odprężone przyjmują położenie skśne, ciało obsuwa się, kolana tworzą kąt ostry przeciwny do kąta bioder i stopy, łachman ludzki rysuje jak by tragiczny zygzak, a głowa, dotąd wstrząsana czkawką agonii, opada na pierś, podbródkiem oparta o obojczyk.

. . . .

Agonia trwała trzy godziny, od szóstej do dziewiątej. Obok Jezusa dwóch złoczyńców dodanych do jego orszaku także zostało wzniesionych na drzewo: trzy krzyże wznoszą się ponuro na skraju drogi. Była to droga uczęszczana, wiodąca od morza z Jaffy; w tym czasie świątecznym było tam niewątpliwie wielu pielgrzymów. Trzeba sobie wyobrazić ostatnie cierpienia Jezusa w pośrodku gwaru przechodniów, gapiów, ciekawych, psów i innych zwierząt, pośród czegoś w rodzaju jarmarku, jaki widzimy na Wschodzie u wrót miast. Straż była tam po to, by nikt nie zdjął skazanych ale nie po to by zapewnić im spokojne konanie.

Poprzez cztery ewangelie widzimy dobrze tłum, który asystuje przy śmierci Mesjasza. Są tam przyjaciele, uczniowie, kobiety (kobiety w całym opisie Męki grają rolę przepiękną, odważniejsze i wierniejsze). Wszyscy przybici katastrofą, oniemiali z rozpaczy. Są także przechodnie, informujący się o tych trzech ukrzyżowanych — tym Żydzi z partii kapłańskiej opwiadają swe oszczerstwa, a ludzie ci, lekkomyślni i tchórzliwi jak ludzie bywają, biorą stronę przeciwko ofierze:

—„Hej, ty, co burzysz świątynię i masz ją w trzy dni odbudować, ratuj się sam! Zejdź — że z krzyża!"

Urzędnicy, ludzie poważni, dołączają swoją podłą ironię do głosu ludu:

— Ocalał innych, niech siebie teraz ocali, jeżeli jest rzeczywiście Chrystusem, pomazańcem Bożym.

Żołnierze ze straży kpinkują: zabawnie oglądać tych Żydów napastujących jednego spośród siebie:

—Jesteś królem żydowskim, ocal się sam!

Ale ponieważ w gruncie rzeczy są mniej okrutni, dają mu pić swój codzienny napój: „posca", wodę zaprawioną kwaśnym winem. Przedniejsi kapłani i członkowie Sanhedrynu, którzy przyszli nacieszyć się swym triumfem, ryzykując nawet zbrukanie się rytualne przez obecność przy czyjejś śmierci, także drwią sobie z ofiary. Mówią między sobą ale tak głośno by każdy mógł usłyszeć:

„Jeżeli jest królem Izraela, niech się odwiesi a uwierzymy w niego. Zaufał Bogu, jeżeli Bóg go miłuje, niech go uwolni! Teraz jest chwila właściwa! Powiedział przecież, że jest synem Bożym!"

I nawet w tych obelgach proroctwo świętych tekstów podchodzi im pod gardło, to bowiem co mówią jest wersetem mesjanicznego psalmu, tak dalece wszystko tutaj ma sens inny niż przyrodzony:

„A jam jest robak, a nie człowiek: pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa. Wszyscy którzy mnie widzą, szydzą ze mnie: wykrzywiają twarze, potrząsają głową (mówiąc): Zaufał Panu, niechże go wyrwie, niechże go wybawi, ponieważ go miłuje". (Psalm XXII, 7—9).

. . . .

Wedle tajemnic bożych ta śmierć była konieczna, ale tym nie mniej była ona największą obrazą prawego porządku rzeczy. Ludzie w swej nieświadomości mogli zapoznawać jedyne znaczenie faktu, którego byli świadkami, przyroda, ten obraz Boga, który ją stworzył, odczuła aż do najtajniejszej głębi świata martwego potworny cios świętokradztwa.

„Od szóstej godziny aż do dziewiątej ciemności rozciągnęły się nad ziemią a słońce pociemniało" (Łuk. XXIII. 44; Mar. XV, 33, Mat. XXVII, 45). ... Czy przyjąć, że było to jedno z tych uderzeń chamsinu, czarny oddech pustyni, jedno z tych ponurych sirocco, które rzucają na Judeję nagłą noc, podobną do ciemności jakie okryły Egipt na rozkaz Mojżesza by ukarać Faraona? Nie są one rzadkie w kwietniu.

...Tłum zmięszany powoli milknie, wielu odchodzi. Beczenie jagniąt przeznaczonych pod nóż w pobliskiej świątyni staje się bardziej ponure. Kpiarze, śmiałe umysły, czują jak ich chwyta za grdykę jakiś niepokój. Ten niepokój, tajemniczo związany z niepokojem natury będzie

Dokończenie na str. 2

Droga Krzyżowa i Śmierć

Dokończenie ze str. 1

wzrastał aż do chwili, kiedy „wszystko dopełni się".

Wśród milczenia odzywa się zduszony głos, z jednego z krzyży. To jeden z bandytów umierających obok Jezusa. W swym strasznym cierpieniu jest cały tylko buntem i złością. Gdyby mógł, rzuciłby się na kogokolwiek. Ten zaraz obok, o którym mówiono, że robi cuda, na co czeka jeszcze żeby ich wszystkich trzech uwolnić? „Jeśli jesteś Chrystusem, ocal siebie i nas". Ale z ostatniego krzyża inny odzywa się głos: „Boga się nie boisz, ty? Znosimy tę samą kaźń. Nam to jest sprawiedliwość, zapłata za nasze zbrodnie, ale tamten, przecież on nic nie zrobił złego!" Do tej duszy zbrukanej już powróciła czystość boża. „Panie — mówi ten żałujący bandyta — jak przyjdziesz do swego królestwa, pamiętaj o mnie!" Czy zdaje sobie sprawę o wstęp do jakiego królestwa prosi? Ale wiara wystarcza. „Zaprawdę mówię ci — odpowiada Jezus — dziś jeszcze będziesz ze mną w raju"

. . . .

Śmierć dokonywała swego dzieła. W tym strasznym sam na sam, które pozna każdy z nas, gdy nadejdzie jego dzień, Jezus wydaje się być już tylko człowiekiem trawionym lękiem. Głosem silnym, głosem dziwnym i zdumiewającym, bo ukrzyżowanie paraliżuje płuca i zaciska krtań, woła: „Eloj, eloj, lamma sabachtani!" Po aramejsku to, w jego języku codziennym, pierwszy wiersz mesjanicznego Psalmu XXII, który z drwin cytowali przedniejsi kapłani; może nawet nasunęli mu to wspomnienie? Psalm ten nie jest tylko krzykiem o pomoc, jaki z głębi [illegible] torturowane ciało wyrzuca jak protest: nie wyraża on wątpliwości, lecz wręcz przeciwnie akt wiary. „Od łona matki mojej jesteś moim Bogiem. Nie oddalaj się ode mnie w godzinę rozpaczy. Chwalić cię będę wpośród tłumu, wypełnię posłannictwo moje w obliczu wszystkich... Przyszłe pokolenia głosić będą sprawiedliwość bożą. Naród się zrodzi, któremu ogłoszone będzie dzieło Wiekuistego!"

Była godzina trzecia. W Świątyni rozpoczynały się ceremonie poprzedzające Paschę, która staje się obowiązującą od zachodu słońca. Trzy dźwięki świętych trąb: krótki, przeciągły, krótki; Arcykapłan w błękitnej kapie wstępuje po stopniach, śpiew fletu rozlega się przed ołtarzem ofiarnym. Na Golgocie z krzyża pada jeszcze parę zgłosek: „Dopełniło się", a potem ostatnia modlitwa „Ojcze, w ręce Twoje oddaję duszę moją", jak okrzyk, wytchnienie tego życia, które się kończy. „I mówiąc te słowa Jezus skonał".

Żaden z Żydów, śpiewających w tej chwili Hellel nie docenial jedynego znaczenia dramatu kalwaryjskiego. Któż mógł myśleć, że gęsta ciemność rozciągnięta nad miastem jest znakiem ostrzegawczym?. Lecz natura znowu i tym razem bardziej dramatycznie zareagowała na zbrodnię. Trzy ewangelie synoptyczne podają, że w tym samym momencie, kiedy Jezus oddał ducha, rozerwała się zasłona Świątyni: przed miejscem Świętym i Świętym Świętych wisiały długie kurtyny, firanki na jednym grzymsie, które opuszczono, gdy drzwi były otwarte. Pieczęć tajemnicy została zerwana: do Świątyni odtąd mogli wchodzić wszyscy ludzie...

Jeden człowiek przecież nabrał podejrzenia, że jest związek między tym niepokojem sejsmicznym a ostatnim okrzykiem ukrzyżwanego: setnik, „exactor mortis", którego obowiązek zmuszał do pozostawania obok skazańców aż do końca. Słyszał on jak Żydzi mówili do Piłata: „Powinien umrzeć ponieważ głosił się synem bożym". W danym momencie nie zwrócił na to uwagi. Ale przewrót w naturze, szerzący się wokół konwulsyjny strach, pomruk w tajnych posadach ziemi, cały ten zespół faktów stał się dlań objawieniem. Na tym zamroczonym cmentarzu, u stóp trzech szubienic wstąpiła w niego światłość:

— Naprawdę — powiedział — ten człowiek był synem Boga!

(Fragmenty z dzieła „Jezus en son temps" „Jezus na tle swoich czasów").

Daniel Rops

CYPRIAN KAMIL NORWID

Z OSTATNICH DNI CHOPINA I SŁOWACKIEGO

FRYDERYK CHOPIN mieszkał przy ulicy Chaillot, co, od Pól Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze mieszkania ma z oknami na ogrody, i Panteonu kopułę i cały Paryż . . . jedyny punkt, z którego napotykają się widoki cokolwiek zbliżone do tych, które w Rrzymie napotkasz. Także też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim, — którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwintny, do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne, — ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech, jakiego, zdaje mi się, już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu.

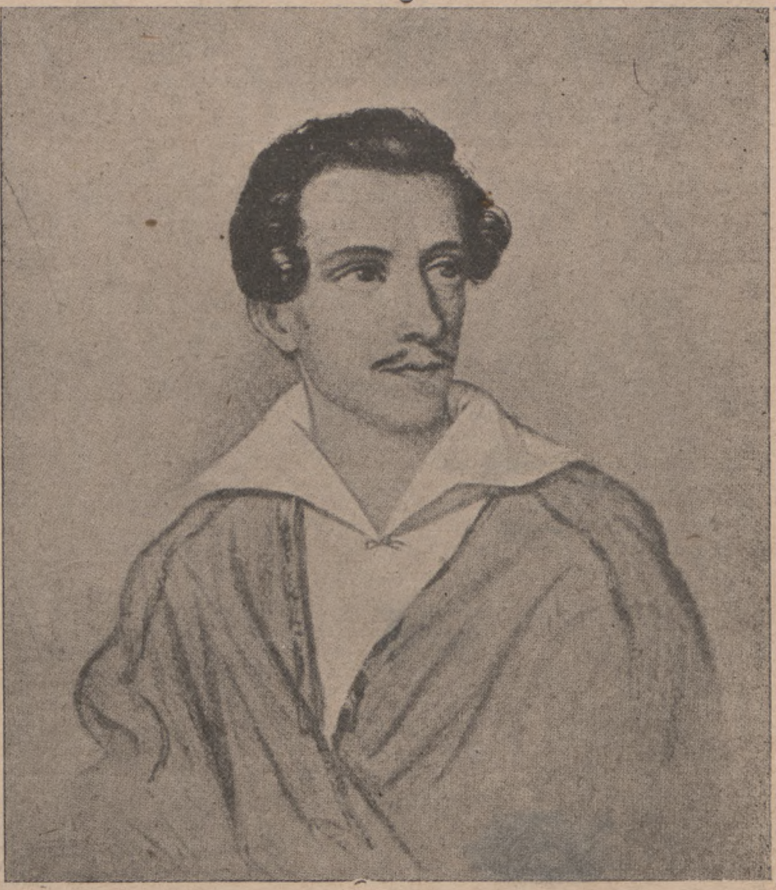
W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował, jak mógł, po schodach i do Bulońskiego lasku jeździł, skąd wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mógł. — Tak jadłem z nim i wyjeżdżałem po wielekroć i tak do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał wtedy, po drodze wstąpiliśmy, nie wchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas poety synek na trawniku się bawił . . .

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu, a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze, jak się ma, i że siostra jego z Polski przybyła. — Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem, — służąca Francuzka powiada mi, że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem. — Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną, mówiąc: iż Chopin, dowiedziawszy się, kto był, prosi mię — że jednym słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju, obok salonu będącego, gdzie sypiał Chopin, bardzo wdzięczny, iż widzieć mię chciał, i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku z nabrzmiałymi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna . . .

On w cieniu głębokiego łóżka z firankami, na poduszkach oparty i okręcony szalem, piękny był bardzo tak, jak zawsze w najpowszedniejszego życia poruszeniach, mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego . . . coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej, — albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragediach francuskich, które, lubo nie są do starożytnego świata przez ich teoretyczną ogładę podobne, geniusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście uklasycznić . . . Taką to naturalnie apotetyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem . . . Owóż — przerywanym głosem, dla kaszlu i dławienia wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem, — potem żartował coś i prześladować mię chciał najmniej o mistyczne kierunki, co że mu przyjemność robiło, dozwalałem, — potem z siostrą jego mówiłem, — potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc żegnałem go, a on, ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: „. . . w y n o s z ę się . . ." i począł kaszlać; co jako, mówił, usłyszawszy, a wiedząc, że nerwom jego dobrze się robiło, silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i całując go w ramie, rzekłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: „. . . wynosisz się tak co rok . . . , a przecież, chwała Bogu, oglądamy cię przy życiu."

„A Chopin mi to, [illegible] przerywane mu kaszlem słowa, „mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme" . . .

To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Vendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem...



JULIUSZ SŁOWACKI
w r. 1838

PRZED śmiercią jeszcze Chopina zaszedłem był raz na ulicę Pontieu przy Elizejskich Polach do domu, którego odźwierny z uprzejmością odpowiadał, ile razy kto zachodząc pytał go, jak się M o n s i e u r J u l e s ma? . . .

Tam na najwyższym piętrze pokoik był, ile można, najskromniej umeblowany, a okna jego dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tym jednym tylko upiększoną, iż czerwone słońca zachody w szyby biły łunami wymi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami tymi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały. Obok drugi maleńki był pokoik — to sypialnia.

Było to więc około piątej godziny po południu, kiedy przedostatni raz byłem tam u Juliusza Słowackiego, który właśnie kończył obiad swój, z zupy i pieczonej kury składający się. Siedział przeto Słowacki przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubrany w długie podszarzane palto i amarantową, spłowiałą konfederatkę, akcentem wygody na głowę zarzuconą. I mówiliśmy tak o Rzymie, skąd właśnie, że niezbyt dawno przybył do Paryża — o niektórych znajomych i przyjaciołach — o Nieboskiej Komedii, którą wysoko bardzo cenił — o Przedświcie, który miał za piękne dzieciństwo . . . Także o sztuce, że wpadła w mechanizm . . . także o Chopinie (który żył jeszcze), a o którym Juliusz, pokaszlując, rzekł mi: — *parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego moribunda . . .* sam wszelako pierwej od Fryderyka Chopina odszedł ze świata widzialnego, umarłszy.

Do pokoiku tego, który, jak Juliusz mawiał: „zupełnie był by dla szczęścia człowieka wystarczającym, gdyby nie to, że w jednej stronie jego kąty nie są zupełnie proste źle będąc skwadratowanym" — do tego, mówię, pokoiku innego dnia wieczorem zaszedłem byłem, a Juliusz stał przy kominie, fajkę na cybuchu długim paląc, jak to używa się w Polsce na wsi, — na kanapie siedział malarz Francuz (którego potem egzekutorem testametu swego zrobił), ale ten nie mówił i milczał milczeniem mało naturalnym i siedział. Nad kominkiem wisiał brązowy medal, Juliusza przedstawiający, który jest jedną z najpiękniejszych w tym rodzaju robót Oleszczyńskiego.

O Francji, o rewolucji, o Rzymskich wypadkach mówiliśmy, — on naturalnym, ale kolorowanym słowem i niespodziewanymi obrotami mowy, i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota, głębię apostrof filozoficznych w Marii Malczewskiego napotykanych, przypominającym. Co wszelako niezawsze z wielkimi jego czarnymi, ognia pełnymi oczyma, i z orientalną skronią i z otworami energicznymi nosa orlego sprzymierzało się . . . Pod koniec rozmowy mówił mi: „piersi, piersi nadwerężone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi za to o tyleż szkodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję, że niedługo i odejść z tego świata przyjdzie mi."—

Dokończenie obok

NOTATNIK

ATLANTYK

„NIECH będzie Bóg pochwalony za obdarzenie nas tym oceanem Atlantyckim, jest on geograficzną podstawą naszej wolności." Tak pisał przed wojną, w 1914 roku, do swego przyjaciela prezydenta Wilsona ambasador Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii Walter Page.

Pod osłoną Atlantyku i panującej na nim przyjaznej floty brytyjskiej prezydent Monroe proklamował swą sławną doktrynę: — „wara Europie mieszać się do spraw Ameryki! Nie dać się zaplątać w sojusze", „nie dotykać spraw Europy" były już przedtem tymi dwoma przykazaniami testamentu Waszyngtona, które łącznie z doktryną Monroego zrodziły izolacjonizm amerykański. Gdyby nie on, świat dzisiaj inaczej by wyglądał.

Już dwa razy Stany Zjednoczone mogły dwom światowym wojnom zapobiec, gdyby we właściwym czasie zopowiedziały, że staną do walki obok przyszłych towarzyszy broni. Myślały, że od wojny uchroni je Atlantyk. Nie wierzą już w to dzisiaj. Po 150 latach Pakt Atlantycki ostatecznie przekreśla testament Waszyngtona.

„Od czasu ogłoszenia doktryny Monroego", oświadcza senator Vanderberg „ten pakt jest najważniejszym krokiem w polityce zagranicznej Stanów". Jako inauguracja nowej ery zrywającej ze złudami przeszłości niezawodnie przejdzie on do historii. Ale za tym trzecim razem już zapowiedź stanowiska, jakie zajmą Stany Zjednoczne, świata od wojny nie uchroni. Stalin i bez tego wie dobrze z kim będzie musiał stoczyć walkę. Kto kogo chciałby bronić, czy kto komu chciałby pomagać, to i bez paktu Atlantyckiego było wiadomo. W jakim stopniu to będzie mogło nastąpić — a, to Stalina dopiero obchodzi, będzie zależało nie tylko od treści paktu, ile od kroków przedsięwziętych przez Stany Zjednoczone dla wzmocnienia i usprawnienia własnego niedostatecznego przygotowania wojennego w Europie i dozbrojenia nieuzbrojonych sygnotariuszy paktu.

DOBRY NIEMIEC

FOREIGN OFFICE jest zaalarmowany otrzymaną wiadomością o przemówieniu dra Adenauera , prezesa Niemieckiej Rady Parlamentarnej w Bonn. Dr. Adenauer, uważany za „dobrego Niemca", miał powiedzieć 23 marca Szwajcarom: „T o n i e m i e c k a a r m i a k a p i t u l o w a ł a a n i e n a r ó d n i e m i e c k i i świat dobrze zrobi, jeśli o tym będzie pamiętał": Polacy i Francuzi nigdy o tym nie wątpili, ale dla anglo-sasów to niespodzianka. Rzecznik Foreign Office'u melancholijnie oświadcza, iż „to źle swiadczy o przyszłości niemieckiej demokracji."

Erzberger, który był niemieckim demokratą i zamordowany został przez złych Niemców, powiedział na jesieni 1914 roku „Gdyby znaleziono sposób zniszczenia miasta Londynu w całości, zastosowanie tego środka byłoby z punktu widzenia humanitarnego bardziej wskazane, niż przelanie krwi na polu bitwy przez jednego żołnierza niemieckiego."

RECEPTA LINCOLNA

JAMES BYRNES były srkretarz Stanu, mąż zaufania Roosevelta zrobił przed kilkunastu dniami odkrycie. Przemawiając w Spartansburgu do weteranów obu wojen stwierdził, iż należy najszybciej pakt Atlantycki ratyfikować, bo wszystko obecnie wskazuje na to „że Rosja chce świat zawojować."

Już przed 22 laty Stalin tego nie ukrywał oświadczając w Moskwie amerykańskiej robotniczej delegacji: „W dalszym ciągu rozwoju rewolucji powstaną dwa centra; jedno, do którego będą ciążyć państwa, w których zostaną dokonane przewroty socjalistyczne i drugie, dokoła którego się skupią państwa kapitalistyczne. Od wyniku walki między nimi o panowanie nad światową gospodarką, zależeć będzie los komunizmu i kapitalizmu." Amerykański kwartalnik „Foreign Affairs" w swym styczniowym numerze te słowa Stalina wypowiedziane w 1927 roku przytacza jako sensacyjną rewelację.

Byrnes był w Jałcie i Poczdamie, uczestniczył w konferencjach ministrów spraw zagranicznych w 1945 i 1946 roku w Londynie, Moskwie i dwa razy w Paryżu, a dopiero teraz zrozumiał, o co Stalinowi chodzi. Może wpadł mu do ręki ostatni numer „Foreign Affairs".

Jako motto do swych pamiętników. które są cennym przyczynkiem dla oceny polityki Roosevelta, Byrnes trafnie dobrał słowa Abrahama Lincolna: „Gdybyśmy najprzód wiedzieli, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy, moglibyśmy lepiej określić, co mamy zrobić i jak to zrobić".

Receptę Lincolna warto zapamiętać.

FRANCISZEK ZAWADZKI

POST I REKOLEKCJE

DRODZY moi Czytelnicy — proszę się nic a nic nie bać! Nie jest to kazanie ani postne ani zapustne. Nie jest to nawoływanie do pokuty. Ot, poprostu: „czytanka" wyjęta z pewnej angielskiej książki — i to nawet nie na temat chrześcijan, lecz buddystów.

Jak wiadomo pijak i miłośnik książek mają wiele cech podobnych: pijak nie potrafi minąć oberży, by nie wstąpić na „jednego", miłośnik książek zaś musi przystanąć choćby na chwilę przed każdą witryną księgarską. Do księgarni nie zawsze wejdzie, niebezpieczna to sprawa. Kilka, lub kilkanaście szylingów może prysnąć, czyniąc pokaźną dziurę w budżecie niby wyrwę w skarpetce. Za często ulegam pokusie. Nie! Tym razem nie wejdę. A wchodzić do nobliwego i nieznanego sklepu i nie brać niczego, to jakoś nie zawsze wypada.

Ale od czego są „secondhand shops'y", antykwarnie bądź całkiem poświęcone książkom (te są również nie bardzo bezpieczne dla kieszeni, choć swobodniejsza w nich obowiązuje etykieta), bądź też antykwariaty — że tak powiem — kolonialne, gdzie wszystkiego po trochu, od potłuczonych naczyń, starych imbryków, wypłowiałych poduszek, dziurawych abażurów, lalek z saskiej porcelany i innych rzeczy wzgardzonych — po książki. Te zazwyczaj są wystawione na ulicy, w skrzyneczce i cena na każdej wypisana kredą. To już bardziej odpowiednie. Wiadomo — śmiecie. Wyranżerowane romansidła, ale przecież dlaczego nie zajrzeć?

Czasem i perła trafi się między wieprzami. Przecież chwilka wypoczynku po drodze się należy. No, i kończy się zazwyczaj tym, że przecież wstąpiło się na „jednego" jeśli nie na „dwa"...

Jednakowoż „sumienie" (płatnicze) i kieszeń protestują.

Postanowiłem się oprzeć wszelkim pokusom. Bo „forsy" nie było wiele, kiedym znalazł się na Earls Court Station wobec całego zastępu secondhand książek w kiosku gazetowym. Spojrzałem — i przeszedłem. Ale wróciłem! Jak nie skorzystać z takiej okazji? I pokaźny, zasobny tom, obficie ilustrowany „za jedne 2 szylingi" znalazł się w kieszeni.

„The home of an Eastern Clan". Życie domowe i folklor Palaungów, dość pierwotnego klanu na granicach Burmy. Czy to nie pasjonujące? Wszak znane są odkrywcze, porównawcze angielskie studia etnologiczne, ludoznawcze. Niestety, drogie bardzo! Postanowiłem zdobyć choć jedno, a oto teraz je mam. Sądząc z ilustracji, sądząc z położenia geograficznego, sądząc z treści, jest to bardzo ciekawe, a przy tym wiele rzeczy nam nie obcych.

Któż powie dlaczego tyle obyczajów i strojów ludowych np. w Karpatach przypomina podobne rzeczy z centralnego wschodu Azji? — Dlaczego i tutaj, na tej oto ilustracji klasztor i kaplice buddyjskie przypominają drewniane cerkiewki w Galicji, lub stare kościoły z Norwegii? Dlaczego ta oto kobieta „Rumai" ze stroju swego całkowicie przypomina hucułkę? Pewno, są rzeczy i całkiem inne. Ale ile podobnych!

Lecz nie o tym chciałem dziś mówić. Pragnąłbym tylko zwrócić uwagę na niektóre obyczaje. Oto cytuję za autorem (str. 316 i n.):

Wielu mężczyzn i wiele kobiet zachowuje post od południa ósmego dnia niknącego księżyca aż do rana dnia następnego. Podobnie ósmego dna rosnącego księżyca, oraz dnia kiedy „księżyc jest martwy", t. j. przed nowiem i również w wigilię pełni. Najbardziej rozpowszechniony jest właśnie ten ostatni post.

Ci, którzy chcą pościć, poprzedniego dnia biorą kąpiel, jedzą wcześnie rano i w południe raz jszcze, lecz nie przyjmują już żadnego pokarmu aż do następnego dnia, a rano kąpią się znowu zmieniając to, co można by nazwać „bielizną" i wdziewają swe najlepsze ubrania. Nawet dzieci, począwszy od lat dziesięciu zachowują częstokroć ten post, jeśli tego same pragną. Wtedy chłopcy idą spać ze swymi ojcami do „domów spoczynku". Niewiasty zaś z małymi dziećmi poszczą w domu. Narzeczeni starają się zachować post jednego dnia równocześnie. Często się zdarza, iż Palaungowie jako wieczystą ofiarę do „domu obrazów" (kaplicy) wyrzekają się na zawsze jakiegoś specjalnie ulubionego jadła i ofiary tej przestrzegają przez całe życie.

Autor pisze, że znał człowieka, który w ten sposób wyrzekł się jedzenia drobiu i jajek. Nieliczni, bardzo pobożni, zachowują taki post co tygodnia, inni znów, zamiast powstrzymywać się od pożywienia jedynie przez jedno popołudnie i wieczór, poszczą pełnych 24 godziny. Tak, jak to czynią mnisi, mniszki i nowicjusze. Nie ma wprawdzie żadnego nałożonego obowiązku takiego postu, jednakowoż mężczyzna czy kobieta, którzy by nigdy nie pościli, byliby niechętnie widziani przez bardziej religijnych współbraci.

W dni postu, po rannym posiłku, który tego dnia bywa wcześniej spożywany, Palaungowie idą do „domu obrazów" z ofiarą świec, ustawiają je w wgłębieniu przed którymś z wyobrażeń Buddy, zapalają je i posypują naokoło warzony ryż oraz kilka liści tytoniu, po czym odmawiają modlitwę.

Później odwiedza się mnichów, składając im ofiary „curry" i ryżu gotowanego i surowego. Dodaje się trochę bananów i tytoniu. Gdy czas postu nadszedł, częstokroć przełożony mnichów udziela pobożnym nauk. Tłumaczy słuchaczom, że szczęście doczesne jest owocem dobroci, a nieszczęście pokutą za grzechy. Do treści nauk i opowieści mnichów dodaje własne, mówiąc o życiu przyszłym, o szczęściu, o spotkaniu się tych, których tu, na ziemi łączyła miłość a śmierć rozdzieliła, o skuteczności modlitwy.

Są to odwieczne prężenia się duszy ludzkiej ku bożej prawdzie. Oficjalna nauka buddyjska o tych sprawach milczy, zachęcając jedynie do poskramiania wszelkich namiętności, celem uzyskania spokoju i równowagi duszy. To, co ów lud głównie przyjął z buddyzmu, to nauka o obowiązku i wartości miłosierdzia... Dawać jałmużnę, to to jedna z rzeczy podstawowych w ich życiu religijnym, największa z cnót. Osoba miłosierna zbiera obfite żniwo zasługi. Miłosierdziem zaś jest dla nich gotowość oddania innemu bez żalu cokolwiek się posiada. Wzrusza ich do głębi historia Wassantary. — Widziałem, powiada autor, Palaungów słuchających ze łzami w oczach opowieści wędrownego opowiadacza o cierpieniach tego bohatera, gdy z miłosierdzia oddawał nawet swą żonę i dzieci; żaden z nich nie poddawał krytyce postępowania Wassantary. Wierzą bowiem, że pierwszą troską człowieka powinno być doskonalenie ducha i charakteru, a w tym nie ma prawa przeszkadzać nawet rodzina...

A więc w dni postu słucha się z rana nauk mnicha. Po południu, gdy post już się zaczął, w „domu spoczynku" (powiedzielibyśmy: rekolekcyjnym), w którym się zbierają, są czytane „Jalaka" (opowieści o Buddzie). Jedni słuchają, paru (mało kto) drzemie. Inni rozprawiają między sobą o życiu duchowym, wspólnie zastanawiają się nad losem zmarłych przyjaciół — dokąd poszły ich dusze. Pod wieczór wracają do „domu obrazów". Poszczący spędzają noc w domu spoczynku z rana zaś następnego dnia idą z ponownymi ofiarami, składając je przed którymś z posążków Buddy, poczem wracają do domu, do swych zajęć potocznych.

Każda wioska posiada własny „dom obrazów" (kaplicę), swój klasztor mnichów i swój „dom rekolekcyjny". Przy każdym zaś monasterze znajduje się szkoła.

*

Są to ludzie nieochrzczeni, buddyści, co z naciskiem raz jeszcze podkreślam. Ale z samego serca ludzkiego znają wartość tych cnót: post, jałmużna i modlitwa. Rozumieją konieczność przezwyciężenia codziennej troski życia tym wzniesieniem umysłu, które nazywać by można rekolekcjami, czytaniem duchownym, nauką wiary.

Prawd objawionych nie znają. Nie są doskonali. Mają cały zasób przesądów. Nie zapominajmy jednak o tym, co św. Paweł nazywa prawem bożym, wpisanym w serce każdego człowieka.

Nie dziwiłbym się, gdyby Łaska, ta która przez Kościół, choć im nie znany, promieniuje daleko w głębię dusz ludzkich, dochodziła do nich, nawiedzała ich i łączyła z Tym, którego Imienia nie znając, przyjmują jednakowoż częściowo w swej prostocie.

Oto tak żyją Palaungowie, ludność

Dokończenie na str. 7

DEKLARACJA JAŁTAŃSKA

RZĄD jałtański ogłosił deklarację o stosunku do Kościoła katolickiego w Polsce. Minister Administracji Publicznej p. Wolski-Piwowarczyk odczytał ją wobec Ks. Biskupa Choromańskiego, sekretarza konferencji Episkopatu polskiego.

Deklaracja ta nie pozbawiona zręczności, osiąga kilka celów naraz: bieżąco polityczne i zasadnicze na przyszłość. We wstępie podważa zaufanie do obrońców instytucji rodziny przez twierdzenie, że broniący jej biskupi Adamski i Kaczmarek angażowali się do współpracy z Niemcami. Dalej zarzuca duchowieństwu patronowanie „antypaństwowym elementom podziemnym", a biskupom wogóle „nieprzeciwstawiania się" przenikaniu elementów „podziemnych" do organizacji kościelnych, z których czynią „bazę dla swej działalności".

W związku z tym deklaracja żąda „zmiany dotychczasowej postawy hierarchi Kościelnej" i „zaniechania nieprzyjaznych aktów wobec państwa", a od tych dwóch warunków uzależnia stworzenie podstawy „do unormowania stosunków z Kościołem". Jak widzimy warunki są ciężkie i równają się przekreśleniu dotychczasowej postawy Kościoła wobec nowego ustroju państwowego.

Natępne punkty mówią o tym, co wzamian da rząd jałtański (i, przypuszczać należy, czego nie dotrzyma!). Nie zamierza więc rząd ten „uszczuplać swobód religijnych". Pogłoski „o likwidacji nauki religii w szkołach są bezpodstawne. Zachowując naukę religii, rząd będzie twardo przestrzegał ogólnej zasady konstytucyjnej, że wolności wyznania nie wolno używać w sposób przeciwny ustawom". Tu wystarczy nadmienić, że nie są jeszcze znane zasady przyszłej Konstytucji, a właściwie — raczej wiadomo, jaki kierunek będą one reprezentowały, by przypuszczać, że Kościół będzie miał swobodę głoszenia swych poglądów i kierowania wychowaniem religijnym.

Zapowiada dalej rzad jałtański że nie zamierza „wtrącać się do spraw kultu i do wewnętrznych spraw administracji kościelnej", bedzie jednak domagał sie „uporządkowania stanu prawnego diecezyj i określenia ich granic zgodnie z nowym porządkiem prawnym i obecnymi granicami państwa".

I w tym sformułowaniu rówrównież uderza mnogość celów, które rząd jałtański chce osiągnąć. Żąda więc przekształcenia pięciu administracji kościelnych (będących tymczasową formą organizacyjną) na ziemiach odzyskanych na stałe diecezje, co by się równało uznaniu przez Watykan obecnej granicy zachodniej Państwa. Ten dodatni postulat na zachodniej granicy jest równoważony niebezpiecznym i nie do przyjęcia politycznie postulatem dokonania podziału kościelnego na wschodniej granicy państwa. Domaga się tu rząd jałtański skasowania trzech prowincji kościelnych — wileńskiej i lwowskiej — rzymskich i greko katolickiej z kilkoma diecezjami oraz arcybiskupstwa obrządku ormiańskiego we Lwowie. W konsekwencji rząd jałtański żąda od Watykanu uznania t. zw. Linii Curzona i układu granicznego z Sowietami z r. 1947 o nowej granicy polsko-sowieckiej. Oznaczałoby to utratę około 7 milionów katolików w tym ponad 3 miliony greko-katolików.

Niezależnie od tej pułapki deklaracji rządu jałtańskiego, punkt ten również zmierza w konsenkwencji do dyplomatycznego nawiązania stosunków z Watykanem za cenę uznania rządu jałtańskiego i ustanowienia przedstawicielstw dyplomatycznych.

Dalszy punkt deklaracji zapowiada „konkretne uregulowanie stosunku pomiędzy państwem a Kościołem", co ma znaleźć swój „wyraz w nowej konstytucji". Rząd jałtański uzależnia owe „konkretne uregulowanie" „w zakresie uprawnień hierarchi kościelnej" od „doświadczeń, wynikających z postaw kleru i hierarchi kościelnej wobec państwa".

Tego rodzaju przedstawienie sprawy przekreśla zasadę „niemieszania sie" do wewnętrznych spraw Kościoła a jednocześnie uchyla furtkę do wycofania się z obietnic na przyszłość. Istotę dażeń rządu jałtańskiego można bardzo łatwo odcyfrować. Daje ten klucz cytowane zdanie o nowej Konstytucji. Oto bowiem w przewidzianym kolejnym etapie sowietyzacji Polski przyjdzie czas na nową Konstytucje, a Konstytucja ta na wzór stalinowskiej proklamuje podział pomiędzy państwem i Kościołem oraz Kościołem i szkołą, dodając dla okrasy „swobodę praktyk religijnych" i swobodę propagandy antyreligijnej. A że Polską rządzi, tak samo jak Związkiem Sowieckim, partia komunistyczna nie uznająca Boga i religii, więc aktualną zasadą i to zasadą praktykowaną będzie walka z Kościołem.

Już dzisiaj odbywają się wiece antykościelne, wymierzone przeciwko hierarchii i duchowieństwu, niebawem rozpoczną się wiece przeciwko nauce religii w szkołach, co już cześciowo się dzieje, narazie w postaci akcji przeciwko pojedyńczym Księżom — Katechetom; próby zakładania komsomołów polskich, muzeów bezbożniczych i t.p., uzasadniane „postawą kleru i hierarchii wobec państwa"...

Wiemy dobrze, że każdy modus vivendi pomiędzy Kościołem i państwem nie zejdzie z woli Kościoła z określonego gruntu stosunków, przwidzianych przez konkordaty, a utrzymujących pełną niezależność Kościoła. Jednak partner drugi — państwo powinno dawać również odpowiednie gwarancje. W wypadku rządu jałtańskiego gwarancje te wydają się wręcz problematyczne.

Kościół miałby uznać nową rzeczywistość polityczną w Polsce, okaleczone na wschodzie granice, nawiązać stosunki dyplomatyczne... i zarazem stanąć wobec nowej Konstytucji, uzależniającej i Kościół i Episkopat i życie kościelne od kolejnego etapu sowietyzacji Polski.

Zbyt trwałe i niezmienne są zasady Kościoła, by można było przypuszczać, iż podstęp rządu jałtańskiego wyda pełne owoce.

Zródłem bowiem sporu pomiędzy dzisiejszym ustrojem politycznym Polski a Kościołem katolickim jest nieuznawanie przez rząd jałtański Boga i brak w tym ustroju miejsca na wolność tak jednostki jak i wszelkich społeczności a więc i Kościoła.

Cała ta próba „ugodowej" polityki wobec Kościoła jest potrzebna reżimowi na wypadek — z góry przewidywanego jej niepowodzenia — dla dalszej coraz bezwzględniejszej walki z Kościołem.

(wp)

Wyraźnie mi to mówił, bawiąc się cybuchem fajki swojej, tam i owdzie powoli poruszanym, jak wahadło zegara ściennego. — W następnym tygodniu pospieszyłem znowu zajść do Słowackiego, ale spotkałem kogoś (można by rzec, z uczniów jego, który odeń wracał, a było już ciemno — i ten powiedział mi: „jutro lepiej zajdź do Juliusza, bo dziś właśnie dlatego wyszedłem od niego, iż nie swój jest..." — „Jakże się ma?" pytałem. — „Nie wiem", odpowiedział mi, ale tyle ci tylko powiem, iż wedle słów Juliusza bardzo wątpi o zdrowiu swym i zawzywał już dzisiaj pomocy i opieki św. Michała archanioła, tusząc, że mu to sił na jakiś czas użyczy." Te słowa usłyszawszy (lubo bez dwuznacznego zadziwienia, bo wiedziałem, że Słowacki bardzo religijny był), na inny dzień odwiedziny moje odłożyłem.

Ten inny dzień w następnym tygodniu wypadł, ale już to o rannej godzinie było, i było to tak, że wszedłszy, pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej Sakramentami opatrzony (list od matki swej nadeszły właśnie w chwili skonania, odczytawszy), zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł.

Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiajcym, który łoże od ściany dzielił. Ptaszki zlatywały na niepielęgnowane doniczki z kwiatami; krzątano się około pogrzebu, a pogrzeb ten jaki był to różni różnie opisali.

— Ja na pogrzebie tym żeńskich istot widziałem dwie, — jedna z tych rzewnymi łzami zalana była, co mi wspomnieniem zostało bardzo pocieszającym na wiele dni potem, kiedy liczne podówczas społeczeństwo polskie, w Paryżu bawiące się, odwiedzałem był — bo wiele było (jak zawsze, świetnych i niepospolitych) Polek podówczas w Paryżu...

Mam rysunek Juliusza, który on w Egipbie rysował z natury, bo pejzaże zwłaszcza rysował wcale dobrze, ale przeciąłem pamiątkę tę na dwie części i jedną do albumu osoby, z kraju przybyłej, ofiarowałem, drugą zostawując sobie, — aby sprawdziły się słowa w Beniowskim napisane, iż prawą rękawiczkę twą zawieszą w muzeum jakim, a o straconą lewą będą skargi ... ironia bowiem taka nadobnie-bezzjadliwa, jako ironia Juliusza, pośmiertnym bynajmniej wspomnieniom nie zawadza. Owszem brzmi ona podobnie tym słowom, które Filip Macedoński przy budzeniu się powtarzać sobie kazał: „Królu: słońce już wschodzi; pomnij cały dzień, że śmiertelnikiem jesteś".

Cyprian Kamil Norwid
(Czarne kwiaty)

JANUSZ JASIEŃCZYK

MOJA WINA,

SPOWIADAM się Bogu Wszechmogącemu, błogosławionej Marii zawsze Dziewicy, błogosławionemu Michałowi Archaniołowi, błogosławionemu Janowi Chrzcicielowi, świętym Apostołom Piotrowi i Pawłowi, Wszystkim Świętym i wam, bracia, żem zgrzeszył bardzo myślą, mową i uczynkiem...

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina — odpowiedziało chórem sto głosów. Szmerowi słów towarzyszyło dudnienie twardych pięści bijących w piersi odwiecznym gestem żalu i inne, dalekie — niemieckich dział zza horyzontu.

Ksiądz Matusiński zawahał się; jak należy wymówić słowa absolucji: p l u r a l i s czy s i n g u l a r i s — „t e" czy „v o s"? Tysiące razy, w konfesjonale, a ostatnio w rowach strzeleckich, w barakach i namiotach udzielał rozgrzeszenia, szepcząc łacińską formułkę „e g o t e a b s o l v o" — zawsze miał do czynienia z osobą, z grzesznikiem, z duszą.

Ileż razy banalne wyznania wlatywały jednym uchem, aby wylecieć drugim, a w głowie spowiednika snuły się myśli własne, nierzadko bardzo świeckie, światowe. Jakże często przymykały się oczy, aby nie widzieć człowieka, zasklepiały uszy, by umknąć przed żrącym pyłem grzechów pospolitych, codziennych, powtarzających się od lat tysięcy. Nie chciał, nie mógł słuchać monotonnej litanii małych potknięć, bezdusznych świństewek, tchórzliwych pochrząkiwań ludzkiego stada.

Nie od razu przyszło zobojętnienie. W pierwszych latach kapłaństwa przerażał i porywał księdza Antoniego każdy płomień wielkiego grzechu. Rzucał się śmiało na czyn występny, tropiąc kroki grzesznika na tajnych ścieżkach upadku, a potem podawał rękę, starał się podnieść, prowadzić; z ust sługi bożego padały słowa ważkie: raz twarde jak młot kruszący skałę, kiedy indziej łagodne, niby wyrzuty ojca.

Później przekonał się, że skutek jest mizerny; bardzo rzadko ksiądz bywa rybakiem, chwytającym w sieć zbawienia zbłąkaną duszę — prawie nigdy lekarzem. Chyba, że...

Zresztą jak walczyć z grzechem, skoro zda się wynikać z natury samej: nieuchwytny prawie, a wszędobylski — mgła bagienna niezniszczalna jak trzęsawisko samo. Tylko maluczkim kościół wydaje się czystym schronieniem Boga; spowiednik, póki sam nie ulegnie, widzi opary grzechu buchające z konfesjonałów: wypełniają nawę, kłębią się pod sklepieniem, zatrutą chmurą sięgają do ołtarzy.

I jak rozróżniać, gromić, gdy grzechy wskakują grzecznie na półki dziesięciu przykazań, spokojnie, beznamiętnie — a czasem szybko, nerwowo — spływają w dobrze impregnowane ucho? Ucho suto odżywionego człowieka, który przestał się dziwić; pojął, że żadna z rzeczy ludzkich nie jest tak nudna, banalna, wyprana z oryginalności, jak występek codzienny, powtarzany z uporem — zawsze, zawsze tak samo. „Ile razy?" „Czy żałujesz za grzechy?" — Dyskretne pukanie w drzewo — formułka rozgrzeszenia.

Coraz mniej się oburzał wikary Matusiński, coraz rzadziej gromił. Nie każdego stać na syzyfowe prace. Mało kto ma odwagę zaczynać wciąż od nowa: windować z ciemnej otchłani kubły śmierdzącej ropy, kamienie boskiej obrazy, a potem patrzeć jak wyrzucone na zewnątrz, toczą się znowu na dół, zasypując ukryte gdzieś na dnie źródła łaski i siły.

*) Rozdział z powieści p.t. „Słowo o bitwie".

Syty, lubiący popić proboszcz Matusiński nudził się serdecznie za nieloną firanką, skrywającą dyskretne wyznania (—kazał umieścić zasłony w starych konfesjonałach w Żelaznej Woli; inowacja praktyczna dla stron obu: ciężka materia ukryła łzę niejedną, westchnienie — i niejedno ziewnięcie znużonego pochodem grzechów plebana —). Czasem tylko przerywał nudę jakiś grzech-kwiat, jakiś wybryk szczególnie pikantny, podniecający fantazję. Niby lowelas zblazowany nadmiarem użycia budził się ksiądz Matusiński z chronicznej drzemki ducha pod wpływem tych rzadkich bodźców. Rozpoczynało się śledztwo, padały liczne pytania. Brał zło na koniec języka, mlaskał, wąchał, rozpoznawał niezwykłe, urzekające smaczki. Czynił to nieomylnie był doskonałym diagnostą. Podobnie celebrowano inny obrzęd na odpustowych obiadach: biała ręka unosi pod światło kielich starego wina, oczy księdza Antoniego — eksperta — długo, cierpliwie badają odcień, gęstość, przejrzystość napoju; nos orli pochyla się nad bladym bursztynem, gdy obie dłonie tworzą osłonę dla zebrania bukietu; parę kropel roztarto na dłoni, ostrożnie zlizano końcem języka; łyczek mały, malutki, później drugi i trzeci; teraz język błądzi lubieżnie po wargach, po podniebieniu; wreszcie jest wyrok, rozwiązanie zagadki: „Badacsoni 1901, z południowo-wschodniego zbocza. Mało tego, mało — ostra była ta zima, połowę szczepów wymarzło".

Wstydził się potem znawca (nie po uczcie — po takiej spowiedzi), a nieraz, gdy zabrnął za daleko, sam musiał się spowiadać z grzechu zrodzonego w konfesjonale. Ale to było rzadko. Zwykle szybko, prawie niepostrzeżenie przesuwał się przez uszy czarny różaniec winy, grzesznik otrzymywał lekką pokutę, czasem komplekt mrukliwych, automatycznych przygan, a potem padały słowa zawsze te same: „e g o t e a b s o l v o". Wrosły one w kolejność zdarzeń, w porządek dni i godzin przybierającego na wadze, choć nie starego jeszcze proboszcza. Nie potrzebował się zastanawiać nad liturgiczną formułką. Dopiero dzisiaj...

Wygłaszając krótką naukę o formie sakramentu pokuty i n p e r i c u l o m o r t i s, o przywileju absolucji bez szczegółowej, indywidualnej spowiedzi, ksiądz Matusiński uprzytomnił sobie, że po raz pierwszy rozgrzeszać będzie nie jednego człowieka, ale stu ludzi od razu, zbiorowość, oddział wojska. Nie wątpił, że ma do tego prawo — znał dobrze przepisy kościelne. Ale czy i jak zmodyfikować formułkę?

Rozstrzygnięcie tej kwestii przyszłoby może łatwiej, gdyby kapelan był trzeźwy. Niestety, tak nie było: alkohol działał jeszcze. Przed godziną gdy oblewali awans dr. Wiechy mocnym włoskim koniakiem, zawiadomiono ich nagle, że wojsko wkrótce ruszy do natarcia na szkarpę El Alâqi. Ksiądz zorientował się szybko co wypada mu czynić.

Wypędzony kopniakiem spod wozu wiecznie zaspany Fijołek (fajfus i ministrant zarazem) ze świętą, podwójną zgrozą lał zimną wodę na głowę kapelana: straszliwe marnotrawstwo cennego płynu i zniewaga duchownej osoby. Ksiądz otrzeźwiał prawie zupełnie i pełnym gazem ruszył „750-tką" na objazd swojej parafii — czterech kompanii pierwszego baonu. Oto stoi na tyle wozu, w komży na battle-dressie, ze stułą; głosi krótką naukę.

Rachunek sumienia... wyznanie grzechów (tym razem zastępuje je, wyjaśnia ks. Matusiński, publiczne przyznanie winy) ...żal za grzechy— postanowienie poprawy... Padają na klęczących katechizmowe terminy: ogniwa pokutnego łańcucha, szczeble mistycznej drabiny, po której wsparty łaską grzesznik ma wspiąć się do odpuszczenia.

Gdy mówi tak swobodnie, zapalając się nawet, księdzu Antoniemu poprzez lekką mgiełkę koniaku miga pochlebna myśl „zawodowa": „idzie dobrze, jak z płatka". Czy może iść inaczej? To także nałóg — wszak setki razy wykładał te sprawy dla chłopskich dzieci, dla dorosłych na rekolekcjach. Ułożyło się wszystko w głowie porządnie, bez zarzutu — „His Master's Voice", poprawna dźwiękowa płyta. Z nalepką: „Przygotowanie do spowiedzi".

A jednak coś się zepsuło, coś zgrzyta, nie wychodzi. Ksiądz utknął na trzecim punkcie, jąka się, chrząka, zacina. Opada bielmo pijaństwa. Oczy trafiają na twarze ludzkie: poważne, dziwnie skupione. Czuje, że te słowa banalne, które przez lat dwanaście rzucał swoim owieczkom — obrok codzienny, ani wzgardzany, ani nazbyt ceniony — padają dziś między zgłodniałych. Dziwne myśli mącą wymowę szafarza łaski. Ci ludzie słuchają go naprawdę! Czyżby rozluźnienie jednego ogniwa sakramentu nadało tej spowiedzi jakiś sens nowy, wzbogaciło świeżym wyrazem? A może chwila osobliwa — cień śmierci — głuche dudnienie armat?

Ksiądz Matusiński kończy naukę. Już nie gramofonowa płyta: nuty bezwzględnej szczerośc brzmią nieporadnie lecz czysto, przeobrażają słowa, wypełniają je treścią gorącą: osobistym wyznaniem winy — i wiary.



Któryś z klęczących westchnął głęboko, zachrzęścił pas z amunicją, komuś obsunął się hełm i stuknął głośno o kolbę, gdzieś niedaleko zacharczał motor ciężarówki. Niemiecka kanonada faluje jak daleka pierś potężnie chrapiącego olbrzyma—pomruk podnosi się i opada rytmem szerokiego oddechu.

Kapelan zdecydował się. Wie już, że trzeba użyć p l u r a l i s. Oto rozgrzeszy za chwilę nie kompanię wojska, ale ich, ludzi, żołnierzy. I Jasia Piątkowskiego, który podniósł właśnie chustkę do czoła (a może do oczu?) i porucznika Bylickiego, i tę pokrakę Małyńskego; Wierzenia i Usznika, Lisowskiego i Dardę, który pochylił głowę i oparł czoło o lufę granatnika. Wszystkich. I każdego z osobna.

Pękła tyle razy zgrywana religijna płyta. Ksiądz Matusiński nie powie teraz żadnych słów wielkich, nie użyje swego ulubionego baroku, co misterną kopułą zamykał każde z jego kazań, każdą naukę lub pogrzebową mowę. Oto zaciął się znowu, przerwał w połowie zdania; podnosi ręce, wyciąga je do wojska szerokim, przywołującym gestem, potem składa dłonie jak do modlitwy:

— „Dominus noster Jesus Christus vos absolvat et ego autoritate Ipsius vos absolvo ab omni vinculo excommunicatonis et interdicti in quantum possum et vos indigetis, deinde ego vos absolvo a peccatis vestris. In nomine Patris et Filii et Spiritui Sancti. Amen".

Teraz kapelan baonu spieszył się bardzo. Czy zdąży wyspowiadać wszystkie cztery, rozrzucone szeroko w pustyni, kompanie? Wytrzeźwiał już zupełnie. Prędko odmówił akty strzeliste, pożegnał czwartą kompanię paroma jędrnymi słowy i pomknął pełnym gazem do widocznych o kilometr dalej ciężarówek trzeciej. Pędził pod wiatr stojąc w wozie, w komży rozwianej jak sztandar, ze stułą na prawej ręce, w hełmie stalowym zsuniętym na tył głowy, mamrocząc coś pod nosem i poganiając szofera-ministranta.

— Prędzej Fijołek! prędzej! Jedź na złamanie karku!

Nie zdążył. Odwalił — uczciwie — trzecią, załatwił prędko i mocno drugą. Spóźnił się do pierwszej.

— Ośle! — ryczał na kaprala Fijołka. — Chyba zmyliłeś drogę! Gdzieś blisko miała stać pierwsza, mówił mi major Kopuć.

— Księże kapitanie... to jest... eee... proszę księdza proboszcza — jąkał się wojskowo-kościelny sługa; nigdy nie wiedział jak tytułować przełożonego, bo gdy kapelan popił, kazał mówić sobie „panie kapitanie", ale kiedy był trzeźwy pouczał famulusa, że ksiądz jest zawsze księdzem i tylko księdzem.

— Księże kanoniku, to przecież tutaj: widać puszki po beef'ie i ślady samochodów. Oni napewno tu stali— ja drogi nie pomylił.

Z ciężkiego kłopotu wybawił kaprala Fijołka szef poszukiwanego oddziału, pan chorąży Kotula. Przezornie zapomniawszy kilku koców i skrzynki z ewidencją kompanii, wrócił się bez pośpiechu z podstawy wyjściowej, na którą już przerzucono baon (— sądził pewnie, że i bez niego wojsko dokona cudów —). Zatrzymał wóz przy nich, i — zarzucony pytaniami przez księdza — wyjaśnił, że natarcie rusza właśnie w tej chwili. Była godzina 3,30.

Kapelan zdrętwiał. Dłuższą chwilę nie mógł połapać myśli. Ociężale, bezmyślnie wyszedł z wozu, zdjął hełm, usiadł na stopniu szoferki. Głowa opadła na piersi; chwiała się w prawo i w lewo — bezradny, pusty owoc na podciętej łodydze. Nie, nie zupełnie pusty: w mózgu księdza zaczynają klekotać gorzkie, ciężkie jak ołów ziarna rozpaczy.

Stu ludzi — może więcej, nie znał stanu pierwszej kompanii — rusza oto do boju bez pociechy religijnej, bez rozgrzeszenia! Przez niego, złego kapłana. „Boże, zlituj się! Chryste! Nie dopuść!" — wołają resztki nadziei. „Zginąłeś, przepadłeś!" — odpowiada rozpacz. — „Potępionyś razem z tamtymi".

Wielki żal zatrząsł nim nagle. Gniew na siebie — pijaka, niechlujnego pasterza — zjeżył włosy na głowie. Myśli pokorne, błagalne miotają się bezsilnie, padają krzyżem na piasek pustyni; ciało pozostaje bezwładne na stopniu samochodu: łokcie na sztywniejących kolanach, głowa w dłoniach, wzrok wbity w ziemię — nie widzący niczego, obejmujący wszystko.

Za całe twarde życie starczy ta minuta udręki: obłędna kawalkada sprzecznych myśli, obrazów — głosy piekła i nieba powikłane w dzikiej pogoni, rozpacz dusz zatraconych, jęk konających bez Boga. Samooskarżenie i wołanie o karę. Prośba błagalna o łaskę. — „Panie, zabierz mnie zaraz! Zniszcz wyrodnego sługę — lecz ocal tamtych."

Dobrze, że kapral Fijołek nie widział twarzy napiętnowanej męką. I tak widział za dużo. Niczego nie rozumiał. Opowie potem kolegom jak przejęty stanem zwierzchnika, w którego „cosik strzeliło jakby grom z jasnego nieba", najpierw lekko dotknął ramienia kapelana, potem potrząsnął nim mocniej; jak później klęknął na ziemi i usiłował oderwać ręce kurczowo obejmujące głowę, wołając coraz głośniej: „Księże kapelanie! Księże Proboszczu! Jegomość! Najdroższy jegomość!"

Ksiądz Matusiński podniósł się nagle. Stanął niepewnie na ugiętych kolanach, postąpił parę kroków, lekko zataczając się powrócił do wozu. Poruszał się jak lunatyk lub zdziecinniały starzec. Wreszcie zebrał się w sobie, podniósł głowę, wyprężył ciało jakby chciał stanąć na baczność.

Fijołek już był przy kierownicy. Ksiądz wskoczył szybko, usiadł przy nim, a widząc, że chorąży Kotula zapakował już swoje bambetle i właśnie rusza z miejsca, rzekł silnym głosem: —

— Jazda za nim! A żywo!

Lekki wóz kapelana szybko dopadł masywnego Bedforda Kotuli, ale nie mógł rozwinąć całej szybkości. Chorąży nie spieszył się bynajmniej: wybierał równiejszą drogę, wymijał kępy suchorostów, kołował. Nie trudno było zgadnąć, że szef pierwszej kompanii pragnie stracić kontakt ze swym nacierającym oddziałem.

Bitwa szła już pustynią. Podmuchy wiatru rzucały w nich dudniące echa jej ciężkich kroków. Pogłosy kanonady, które nagliły księdza do gwałtownego pośpiechu, nie podobały się wcale ostrożnemu podoficerowi. Zaczął właśnie stosować swą prywatną, nie nazbyt ofenzywną taktykę i obecność kapelana nie była mu na rękę. Kiedy Fijołek podjechał bliżej, a ksiądz Matusiński, stanąwszy w wozie, zawołał głośno: „Prędzej, panie Kotula! Prędzej" — chorąży udał najpierw, że nie słyszy. Wreszcie, ponaglany dalszymi okrzykami, odwrócił na moment głowę i lewą ręką wykonał bezradny gest nad motorem swojego wozu.

— Stary grat — rzekł Fijołek. — Nie poradzi, księże kapelanie.

Ksiądz Matusiński zamilkł i usiadł. Bał się oderwać od chorążego, bo wiedział z doświadczenia jak trudno jest odszukać oddział poruszający się w pustyni. Ostrzej popędzać szefa nie śmiał — jasnym było, że grozi to „spaleniem się świecy" lub innym „nagłym defektem", który by unieruchomił ich na czas dłuższy. Zamknął oczy i spuścił głowę. Biernie, z rezygnacją rozpaczy poddawał się wstrząsom i rzutom wozu; wnętrze księdza falowało rytmem szarpanym jazdy: krótkie pasma obrazów i myśli, drgnienia uczuć, skurcze bolesnych doznań—wszystko

Rys. JANINA BOGUCKA

MOJA WINA...*)

to pogmatwane i zmięte, a jednak tworzące całość, splatało się z żywym, to znów powolnym obrotem kół, z wartkimi skokami naprzód, z przystankami i zgrzytem przeraźliwym hamulców.

Nastrój kapelana w ciągu tych długich minut sztucznie hamowanej pogoni byłby bliski odrętwienia, gdyby nie jaskrawe światło które milionem ostrych promieni bez przerwy wpijało się w każde włókno świadomości, sumienia. Poddany ciągłym wstrząsom, kołysząc się gwałtownie na biegunach rozpaczy i nadziei — ksiądz Antoni nie wychodził ani na ułamek sekundy spod zimnego tuszu tego groźnego światła. Z przedziwną, może nigdy dotąd nie przeżytą jasnością uświadamiał sobie jedną z głównych nauk Kościoła: kto umiera w stanie grzechu śmiertelnego, nie może być zbawiony. Sto dusz oddanych jego pieczy ryzykowało w tej chwili wieczne potępienie—przez niego,przez jego karygodne niedbalstwo. Każdy z nich może polec, myślał ksiądz Matusiński, a któryż nie popełnił ciężkiego grzechu niezmazanego sakramentem pokuty? A on — niegodny szafarz, opieszały wysłannik Boga — jest poza niebezpieczeństwem: ma szanse nie tylko uratowania życia, o co mniejsza, ale nawet — zbawienia duszy!. Ten splot okoliczności zdawał mu się na przemian — to chytrym figlem Nieprzyjaciela, to znów niepojętym uśmiechem łaski, obietnicą, bodźcem działania. Kto poznał przerażającą nicość ludzkiego mózgu i wie, że zdrowie naszego umysłu wisi stale na włosku, zagrożonym w każdej sekundzie życia tysiącem nożyc—bezmiarem niebezpieczeństw tajemnych, nieprzewidzianych—ten pojmie jak bliski obłędu był kapelan baonu w czasie tej ciężkiej jazdy.

Zaczął odmawiać różaniec. Gdy doszedł do pierwszego „Ojcze Nasz" po dziesięciu „Zdrowaśkach", wóz zahamował nagle i stanął. Ksiądz otworzył oczy. Ze szczytu wzniesienia 272, gdzie, w pobliżu Fig, Fijołek zatrzymał samochód, ujrzeli szeroką tyralierę wojska maszerującą równo w kierunku szkarpy El Alâqi.

W pustyni legła cisza — wielka, niezmącona w tej chwili żadnym wybuchem, żadnym poświstem wiatru, bo i on ustał nagle, zawisł nad baonem ruszającym do boju, jakby chciał spojrzeć z bliska na ludzi wyzywających los, maszerujących do zwycięstwa lub klęski — zawsze ku śmierci.

Kapelan wyskoczył z wozu. Czuł ciszę w sobie. Uchwycił znów równowagę — niby człowiek wskakujący na pomost nadbrzeżny z rozhuśtanej na falach burzliwych łodzi. Chwycił za rękę chorążego Kotulę:

— Gdzie pierwsza?

— Wprost przed nami, w drugiej linii natarcia, na prawym skrzydle. Uszli już z pół kilometra. O! widać porucznika Jóźwiaka — ten w jasnej, kremowej skórze. A tam sierżant Czydzik...

Ksiądz Matusiński nie słuchał więcej. Jak stał, w białej komży na battle-dressie, ze stułą, bez hełmu — ruszył biegiem w dół łagodnego wzniesienia. Zbudzony z zamyślenia wiatr natarł na niego z pasją, rozwiał kościelne szaty, potargał siwiejącą czuprynę — lecz nie powstrzymał człowieka.

Chorąży Kotula stuknął się w czoło.

— Zwariował — rzucił przez zęby.

Kapral Fijołek gapił się chwilę. łapiąc podmuchy wiatru w otwarte usta. Nagle zapalił motor, szybko wjechał pomiędzy „figi", zeskoczył z wozu i puścił się kłusem za biegnącym zwierzchnikiem.

Kotula wyjął srebrną papierośnicę. Flegmatyczne zapalał „playersa" patentowaną wiatrówką, obserwując spod oka ucieszne widowisko: „dogoni, czy nie dogoni?"

Oczywiście dogonił — młodość zawsze dogania, wyprzedza wiek dojrzały, wiek klęski. Chorąży Kotula podniósł brwi i zaciągnął się głębiej: „Za łby się wzięli czy co? A to ci heca! Widać i tamten zbzikował."



Nie, to tylko Fijołek pomoga księdzu: prawie zdziera z niego komżę, strój niebezpieczny w bitwie. Oto leży na ziemi szata zmięta lecz biała. Ruszyli dalej. Przystają, zwalniają tempo, podrywają się znowu.

Chorąży, który został, kończył już papierosa gdy ciszę spłoszył grzmot tysięcy odpaleń. Czarna, wiązana ogniem kotara zasłoniła nacierający — już daleki — batalion. Spokojny obserwator wytężył oczy. Dojrzał. Dwie sylwetki zatrzymały się na moment — wycięte z drzewa, wbite w piasek figurki: nierealne i nieruchome. Lecz oto ruszają się znowu. Mniejsza pada na płask, wsiąka w szarość pustyni — większa, masywna, śmiało rzuca się naprzód. Miga w pędzie szarpana wichrem fioletowa stuła. Błysnęła raz i drugi. I znikła. Ksiądz Matusiński wsiąknął w dymy.

* * *

Widziano go potem w bitwie. Widziano wielokrotnie. Nie przemówią zabici, których rozgrzeszył. Nikt nie wie jaką wieść o kapłanie zanieśli tam, skąd nie ma powrotu. Ale są żywi. Zawróceni z połowy drogi. Liżąc się z ran przeróżnych w jękliwej ciszy szpitala, przekażą innym cząstki prawdy o księdzu, który rzucał się na nich „jak orzeł na ciało".

*

Oto strzelec Cynajek z trzeciej kompanii który, zaplątawszy się w szyki pierwszej, padł ranny w głowę po czterech minutach zaporowego ognia.

— Czułem się słabo silnie. Łeb mnie łupił jak wszyscy diabli i gadać nie bardzo mogłem. Ksiądz wpadł na mnie jak wariat — jeszcze przed łapiduchem.

— „Która kompania" — krzyczy i klęka przy mnie. Nie mogłem odpowiedzieć, a on swoje: „Która? Gadaj że która?"

— Ja oczy wywaliłem; poznał, widać, że mi mowę odjęło, więc—„Pokaż na palcach!" — krzyczy.

— Podniosłem trzy palce, a ten się czegoś ucieszył. „Odejdź w pokoju, bracie" — powiada, — jużem cię rozgrzeszył". I tyle go widziałem — pognał dalej. Chyba świrka dostał od tego huku, bo strzelali jeszcze i odłamki świstali koło nas.

*

— Ja prawosławny — z trudem wykrztusił kapral Dejun widząc, że nieznajomy oficer z krzyżami na kołnierzu siada przy nim.

— Nie pytam o to — odburknął tamten — Która kompania?

— Pierwsza — szepnął Dejun w nachylające się ucho.

— Gdzie rana?

— Płuca. Po prawej stronie.

Ksiądz rozpiął poszarpany płaszcz żołnierza, rozerwał kurtkę munduru, obnażył ranę wielką jak dłoń mężczyzny. Krew broczyła obficie, wsiąkając w fałdy bielizny, zasychając na brzuchu w lepkie, szerokie plamy. Kapelan działał szybko. Opatrunek osobisty rannego wepchnął w ranę, rwał na pasy własną koszulę, wiązał, bandażował jak umiał. Gdy krwotok ustał wreszcie, ułożył kaprala na wznak, nakrył płaszczem; hełm odwrócony wsunął pod głowę.

— Chcesz się spowiadać? — zapytał.

— Ja prawosławny, księże.

— Głupiś! — podniósł głos ksiądz Matusiński. — Schyzmatyk jesteś nie kacerz. Wierzysz w Boga?

— Wierzę — wyszemrał ranny.

— To i dobrze. Jak nie ma popa — to ja pop dla ciebie. Rozumiesz? Takie prawo. Krwi dużo uszło, możesz fajtnąć; gadaj, a żywo.

Trzy minuty, nie więcej trwała ta spowiedź. Po łacińskiej formułce, kapelan podniósł się szybko. Szukał wzrokiem następnej plamy — nieruchomego człowieka na popielatym piasku. Nagle coś sobie przypomniał.

— Słuchajcie kapral! — rzekł głośno. — Rozgrzeszyłem was, odpuściłem grzechy. Jesteście czyści. Muszę iść — przyślę sanitariusza.

*

— Morowy ten nasz kapelan — powie znany flegmatyk, ojciec dzieciom, sierżant Dracki z Warszawy.—Swój chłop, moi drodzy, ale straszny służbista.

— Nie poznałem go w pierwszej chwili, tam w polu. Zemgliło me jak jasny gwint — wiecie: pięć odłamków pod pępkiem, to nie w kij dmuchał. Gadomski bandażował mi rany — bolało, psia ich nędza — a tu się ktoś nachyla, w ślepia mi zagląda i wrzeszczy: „Która kompania?"

— Jak w pijanym widzie dostrzegłem trzy gwiazdki na ramieniu. Słowo daję, że mi się wszystko na moment pokiełbasiło. „Nic — myślę — tylko pewnie umarłem i do raportu przyjęcia mam stanąć". A ten kapitan wciąż: „Która? mów człowieku! — jestem ksiądz, kapelan." To ja powiadam: „pierwsza", bo i Matusińskiego wreszcie poznałem.

— Później już leguralnie było i grzecznie bardzo, nie powiem. Usiadł księżyna, głowę moją na kolana sobie położył i powiada: „Kiepsko z panem, panie sierżancie. Trzeba się wyspowiadać",

— Ja tam, jak wiecie, stary „pepesiak" jezdem i katabasów nie lubię, ale wziął mnie wtedy pomidor. Spowiadałem się. I nawet, powiem prawdę, ulżyło, choć wiele mi gadać nie dał. Co grzech jaki powiem, to woła: „Dobrze, prędzej! Co jeszcze?" — a potem: „Czy żałujesz za grzechy?" Wyklepał swoje po łacinie i podrałował dalej, jakby mu od sztuki płacili.

*

Nie tak łatwo poszło z następnym. Porucznik Jóźwiak dostał postrzał na krótko przed wzięciem Rygli. W lewe płuco, nad sercem. Stan ciężki, ale przytomność pełna. Ksiądz Matusiński dopadł go już po założeniu pierwszego opatrunku. Ranny uśmiechnął się blado.

— Szkoda czasu, mileńki — powiedział. — Wie pan: jestem bezwyznaniowy. Lepiej iść do owieczek.

— Zdążę, zdążę. Ot tak chciałem pogadać.

Kapelan usiadł przy rannym. Patrzył w twarz bardzo bladą, w gasnące oczy. Szukał.

— Pan przecież zawodowy — rzekł wreszcie. — I wychowanek Kadetów?

Jóźwiak potwierdził lekkim skinieniem głowy.

— I twierdzi pan, że Boga nie ma. Czy może pan dać mi na to oficerskie słowo honoru?

Ksiądz mówił bardzo wolno, akcentując ostatnie słowa. Oficer milczał.

— No? Jakże? — nastawał intruz.

— Sprawa poważna: tak czy nie, poruczniku?

— Nie, nie mogę — szepnął Jóźwiak. — Nie mogę dać słowa honoru.

— A zatem nie jest pan pewien. Więc dobrze, zaczynajmy. Może za chwilę pozna pan prawdę — pełną prawdę: wiara nie będzie potrzebna.

Ksiądz ukląkł przy rannym. Przygarnął jego głowę, szeptał mu w same ucho:

— Najlepiej według przykazań, synu...

I wreszcie: „Ego te absolvo..."

Gdy odchodził, porucznik uśmiechchał się znowu, ale już innym uśmiechem. Całe życie będzie wspominał tę chwilę jako najdziwniejsze, niepojęte zdarzenie.

* * *

Tak szedł kanonik przez bitwę. Nie oszczędzał się, nie schylał pod obstrzałem. Dogoniwszy nacierającą kompanię, posuwał się w pierwszej linii. Bez hełmu, bez broni (i bez krzyża w ręku jak to bywa w powieściach), pomagał sanitariuszom, spowiadał ciężko rannych, pokrzepiał konających. Pochwalił się potem, że dysponował na śmierć trzydziestu żołnierzy pierwszej kompanii. Tylko pierwszej kompanii.

Oto major Kopuć, w drodze na Rygle, przeszkodził księdzu w ostatniej chyba spowiedzi.

— A, to ksiądz, przepraszam.

Kapelan szybko skończył z rannym.



— Majorze! Panie majorze! — wołał w ciemność. Dognał dowódcę baonu i pytał czy pierwsza kompania będzie jeszcze dzisiaj użyta.

— Nie wiadomo — powiedział Kopuć. — A bo co? Potrzebujecie ludzi do rannych?

— Nie, sanitariuszy dosyć. Ale, jeśli pan major pozwoli, to chciałbym się z nimi pomodlić, zrobić spowiedź powszechną. To poprawi morale wojska — dodał niezawodny argument.

Major machnął ręką:

— A rób ksiądz, co uważasz. Byle po ciemku, bez śpiewów oczywiście. I krótko: nie męczyć mi wojska.

Janusz Jasieńczyk

Henryk Mirzwiński

DWIE ETIUDY

1.

Chciałbym tę chwilę
w pożółkłe włożyć kartki
i zasuszyć jak bratek,
bym kiedyś mógł się nachylić
nad twarzą czasu bez zmarszczek
i liczyć, jak płatki,
uderzenia serca w szczęściu.

2.

Tylko w ciszy tak wielkiej,
że przelot ptaka by ją porwał
na dwoje,
tylko w ciszy tak wielkiej,
że liść spadający by ją rozbił
na części
mogę zmysłami pojąć
melodię serca w szczęściu.

Żal Szopenowski

W nocy z dnia 16 na 17 października 1849 zamknął oczy na zawsze jeden z nawiększych geniuszów, jakich wydała ludzkość — Fryderyk Szopen. Serce jego po śmierci spoczęło w kościele św. Krzyża w Warszawie, a cała twórczość związana była każdym włóknem serca z Polską. Szopen jednak stał się własnością całego świata. W świecie dzieło jego i żywot znane są dokładniej i powszechniej niż w Polsce.

Jest oczywiście wiele książek o życiu i twórczości Szopena w języku polskim. Niedługo przed wojną wyszła spod pióra Adolfa Nowaczyńskiego urocza książka o „Młodości Szopena". Poza tym istnieją raczej krótkie szkice o Szopenie jako muzyku z rozprawką Ignacego Paderewskiego na czele. Trzeba przyznać, że w obcych językach napisano o Szopenie niepomiernie więcej niż w polskim.

Jedną z najpopularniejszych w literaturze światowej, z wielkim talentem i umiłowaniem napisaną książką o Szopenie jest romans pisarza włoskiego, Nino Salvaneschi p. t. „Żal Szopenowski*). Książeczka ta w doskonałym polskim przekładzie Eweliny Bocca Radońskiej wznowiona została na emigracji.

Pisarz nie zajmuje się analizą twórczości muzycznej Szopena, lecz jego romantycznym i tragicznym żywotem, który traktuje jak utwór muzyczny, jako symfonię życiową: adagio dzieciństwa, allegro con fuoco młodości, crescendo wieku dojrzałego i rallentando ostatnich lat. Motywem przewodnim tego życia był „żal" — wyraz znany tylko polszczyźnie, a zawierający ogromną treść smutku. Cała twórczość Szopena bierze początek w żalu — za straconą ojczyzną, domem rodzinnym, miłością, szczęściem, życiem uchodzącym.

„Żal Szopenowski" wzbudza w każdym Polaku radosny skurcz serca, że są w polskiej kulturze siły mogące olśnić świat. Dziś zwłaszcza na emigracji jakże bliski jest nam Szopenowski żal polskiego przeznaczenia.

*) *Nino Salvaneschi — Ewelina Bocca Radońska: ŻAL SZOPENOWSKI. Rzym, 1946. Stron 175. Cena 3/3. Na składzie w Veritas Foundation Publication Centre 12 Praed Mews, London W2.*

10 n. — *Niedziela Palmowa, Ezechiela*
11 p. — Leona I. Pap.,
12 w. — Juliusza, Zenona
13 ś. — Przemysława
14 c. — W. Czw., Justyna
15 p. — † W. Piąt., Anastazego
16 s. — † W. Sob., Lamberta

WIELKI TYDZIEŃ

OSTATNI tydzień przed Wielkanocą, zwany Wielkim, ma zadanie bezpośredniego przygotowania wiernych do uroczystości Zmartwychwstania. W nim rozpamiętujemy ostatnie dni życia P. Jezusa od chwili tryumfu przy wjeździe do Jerozolimy do śmierci na krzyżu.

Wszystkie uroczystości religijne tego tygodnia i jego nadzwyczaj bogata liturgia pochodzą z Jerozolimy, gdzie w rocznicę śmierci Zbawiciela panował zwyczaj odwiedzania miejsc Jego męki. To nabożeństwo, początkowo czysto miejscowe, przeniosło się z czasem do Rzymu, gdzie nawet kościoły rozmieszczano w ten sposób, by mogły one być jak w Jerozolimie miejscem nabożeństw wielkotygodniowych.

NIEDZIELA PALMOWA

Zaczyna ona Wielki Tydzień i ma podwójny charakter. Najpierw radosny, bo przypomina nam tryumfalny wjazd do Jerozolimy Chrystusa Pana, który jednakże miał nad nią zakrólować w kilka dni później z wysokości krzyża. Już w IV w. w ten dzień czytano w Jerozolimie opis wjazdu P. Jezusa do miasta, które obejmował jako swą stolicę, gdyż Jerozolima jest symbolem królestwa niebieskiego. Jeden z biskupów dosiadał osiołka i od Góry Oliwnej aż kościoła Zmartwychwstania jechał przez ulicę Jerozolimy w otoczeniu tłumów wiernych z palmami w rękach śpiewających hymny i antyfony. W IX w. przybył zwyczaj poświęcania palm i odbywania procesji z nimi. Żałobny charakter Niedzieli Palmowej wyraża się tym, że w czasie mszy kapłan czyta opis Męki Zbawiciela według św. Mateusza.

Przede mszą w tym dniu kapłan w szeregu modlitw prosi Boga, by poświęcone gałązki oliwne i palmowe zapowiadające ostateczny tryumf Bożej miłości zaniosły błogosławieństwo wszędzie tam, gdzie będą przez wiernych zabrane, i aby wierni składali u stóp Jezusa swe dobre uczynki, jak mieszkańcy Jerozolimy składali gałązki palmowe. Następnie kapłan okadza i **poświęca palmy** i rozdaje je ludowi. Zaczyna się **procesja z palmami,** w czasie której lud śpiewa antyfony. Przy powrocie do kościoła część chóru wchodzi do wewnątrz, a reszta z kapłanem zostaje za drzwiami, które się zamyka. Przy śpiewie „Cześć, chwała..." diakon lub kapłan uderza trzykroć w zamknięte drzwi końcem krzyża i procesja wchodzi do kościoła śpiewając: „Gdy wchodził Pan do miasta świętego..." Jest to symbol wejścia Chrystusa do Królestwa niebieskiego przez śmierć na krzyżu.

Przechowywane w domu poświęcone palmy mają znaczenie sakramentaliów, jednających nam pomoc Bożą przez moc modlitwy kościoła.

Zaczyna się Msza św.:

LEKCJA z listu św. Pawła do Filipensów 2,5—11 przypomina wiernym, że Jezus Chrystus, aczkolwiek był równy Bogu, „wyniszczył samego siebie" i stał się równy ludziom. Uniżył się „stawszy się posłusznym aż do śmierci" i to śmierci uważanej za haniebną. Przez tę ofiarę Bóg Go wywyższył i dał Imię ponad wszelkie imiona na świecie.

Po odczytaniu opisu Męki Zbawiciela, kapłan czyta Ewangelię zaczerpniętą z dalszego ciągu tego opisu. Podaje ona scenę, gdy kapłani i faryzeusze proszą Piłata o postawienie straży przy grobie, a Piłat godzi się na to i daje straż rzymskich żołnierzy.

W tym dniu powtarzamy za Jezusem modlitwę z Ogrójca, zawartą w Komunii dzisiejszej mszy św.: „Ojcze, jeżeli ten kielich nie może mnie minąć, bym go nie pił, niech się stanie wola twoja".

WIELKI PONIEDZIAŁEK

Msza w tym dniu zawiera w Lekcj. proroctwa Izajasza odnoszące się do męki i Zmartwychwstania Jezusa. Ewangelia podaje opis uczty u wskrzeszonego Łazarza, w czasie której Maria Magdalena namaszcza nogi Jezusa i ociera włosami.

WIELKI WTOREK

We mszy znajdujemy znów wiele tekstów ze Starego Testamentu odnoszących się do prześladowania Zbawiciela oraz czytanie opisu Męki Pańskiej z Ewangelii św. Marka.

WIELKA ŚRODA

Lekcja mszy zawiera tak wierne i dokładne przepowiednie Męki Pańskiej w proroctwach Izajasza, że zjednały one temu prorokowi tytuł „piątego Ewangelisty". W dniu tym w czasie mszy kapłan czyta opis Męki Pańskiej z Ewangelii św. Łukasza.

CZARNA JUTRZNIA. W W. Środę, w W. Czwartek i w W. Piątek wieczorem odmawia się publicznie część nabożeństwa brewiarzowego, a więc modlitwy całego Kościoła, zwaną jutrznią. Przed ołtarzem stoi świecznik trójkątny z 15 świecami. Po odśpiewaniu poszczególnych części jutrzni gasi się kolejno po jednej świecy na znak, że chwała P. Jezusa zanikała zwolna w miarę zniewag i mąk, jakich doznawał. Pod koniec nabożeństwa zostaje tylko najwyższa świeca na szczycie trójkąta. Symbolizuje ona samego Zbawiciela „Światło Świata". W chwili przypominającej śmierć Chrystusa wynosi się tę świecę poza ołtarz. Obecni czynią hałas, uderzając książkami o ławki na pamiątkę trzęsienia ziemi w chwili zgonu Zbawiciela i w chwili Jego powstania z grobu, które teraz symbolizuje wyniesienie świecy spoza ołtarza i umieszczenie jej na nim.

WIELKI CZWARTEK

Dzień ten jest święcony przede wszystkim jako rocznica Ostatniej Wieczerzy a więc ustanowienia Mszy św. i Sakramentu Ołtarza. W czasie roku kościelnego mamy osobne uroczyste święto Bożego Ciała w okresie, w którym żałoba nie przesłania nam radości z ustanowienia tego źródła łaski dla człowieka. W W. Czwartek w czasie mszy odprawianej w kolorze białym kapłan śpiewa Gloria przy dźwięku dzwonów i organów, które następnie milkną aż do W. Soboty. Przy nabożeństwach odtąd używa się tylko kołatek.

Każdy katolik rozumiejący znaczenie tego dnia przystępuje w nim do Komunii świętej, aby serdecznie móc podziękować Jezusowi za ustanowienie wielkiego Sakramentu, w którym się z Nim łączy. W każdym kościele odprawia się tylko jedną Mszę św., inni kapłani przyjmują Komunię św. wraz z wiernymi. Kapłan w tym dniu poświęca trzy hostie.

LEKCJA z I. listu św. Pawła do Koryntian 11, 20 - 32 przypomina chwilę ustawienia N. Sakramentu i przestrzega przed niegodnym przyjmowaniem Ciała i Krwi Pańskiej. Kto niegodnie przyjmuje ten Sakrament gotuje sobie sąd Boży.

EWANGELIA według św. Jana 13. 1-15 ukazuje nam Jezusa, gdy chcąc zostawić swym uczniom przykazanie i przykład miłości umywa im z pokorą nogi. Św. Piotr znów daje dowód swej prostej pokory i gorącej miłości Mistrza.

PO MSZY kapłan okadza dwie pozostałe Hostie i przy śpiewie hymnu „Pange lingua..." zanosi je do **Ciemnicy.** Odwiedzający N. Sakrament w Ciemnicy, jeżeli przystąpili do spowiedzi wielkanocnej i Komunii wielkoczwartkowej i pomodlą się w intencji Ojca św. uzyskują odpust.

Następnie kapłan dokonuje obrzędu **obnażenia ołtarzy.** Biskupi diecezjalni i opaci umywają w tym dniu nogi dwunastu starcom lub biednym na pamiątkę umywania nóg Apostołom przez Pana Jezusa. Biskup klęka przed każdym starcem, umywa mu nogi, ociera ręcznikiem i całuje. Następnie jako dar wręcza mu ręcznik, chleb i monetę. Po uroczystości spożywa w ich gronie posiłek. Uroczystość ta nazywa się **„Mandatum"** od pierwszych słów antyfony śpiewanej podczas niej „Mandatum novum" — „Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali..."

W katedrach biskupi poświęcają w tym dniu Oleje św. używane przy udzielaniu Sakramentów: Chrztu, Bierzmowania, Ostatniego Namaszczenia i Kapłaństwa.

WIELKI PIĄTEK

Liturgia tego dnia jest pełna żałoby i w całości poświęcona rozważaniu Męki i Śmierci Jezusa Chrystusa na Krzyżu. Szaty liturgiczne są koloru czarnego.

Przed Mszą św. kapłan czyta opis **Męki Pańskiej według św. Jana** a następnie odmawia **specjalne modlitwy** za Kościół Katolicki, za Papieża, za wszystkie stany duchowne, za katechumenów, za głowę państwa, o uwolnienie świata od wszelkich błędów i nieszczęść, o pomoc dla cierpiących, za heretyków i odszczepieńców, za Żydów i pogan i o nawrócenie grzeszników.

Po modlitwach zaczyna się **adoracja Krzyża,** obrzęd pochodzący z VI w. Kapłan bierze do ręki krzyż osłonięty fioletową zasłoną i odsłaniając kolejno jego ramiona śpiewa przy każdym odsłonięciu: „Oto drzewo krzyża" („Ecce lignum crucis"), na co chór odpowiada: „na którym zawisło zbawienie świata". Po odsłonięciu całego krucyfiksu kapłan kładzie go przed wielkim ołtarzem i zdjąwszy obuwie przyklęka trzykrotnie i całuje go adorując. Z kolei adorują krzyż wierni. W czasie adoracji chór śpiewa t. zw. Improperie: „Ludu, mój ludu..." na zmianę z „Święty Boże" po łacinie i po grecku na znak jedności Kościoła. Adorację kończy hymn „Pange lingua".

W W. Piątek, w którym Chrystus Pan poniósł śmierć składając z Siebie samego Ofiarę, Kościół nie śmie odnawiać tej Ofiary na ołtarzu, dlatego kapłan nie konsekruje w tym dniu hostii, a tylko spożywa konsekrowaną w dniu poprzednim. Jest to Msza z darów poprzednio poświęconych czyli „Missa Praesanctificatorum". W obrządku wschodnim takie msze odprawiają kapłani przez wszystkie dni W. Postu z wyjątkiem sobót i niedziel.

U nas w Polsce w W. Piątek popołudniu wierni tłumnie nawiedzają Boże Groby w kościołach. Przed Bożym Grobem spoczywa krzyż umieszczony tam po adoracji. Nad Bożym Grobem wystawiony jest N. Sakrament w monstrancji (trzecia Hostia, konsekrowana w W. Czwartek).

W dzień ten obowiązuje post ścisły.

WIELKA SOBOTA

Kościół błogosławi wszystkie elementy, którymi się posługuje dla oddawania chwały Bogu, a więc ogień, wodę, kadzidło i woskową świecę paschalną zwaną krótko paschałem. Po poświęceniu ognia, który się roznieca przed kościołem od iskry z krzesiwka, kapłan zapala od niego światła w kościele, wnosząc zapaloną potrójną świeczkę, która symbolizuje światłość Trójcy Przenajświętszej, i śpiewając „Lumen Christi"...

Następuje poświęcenie paschału, który ma wyobrażać Chrystusa, Światłość Świata. Kapłan poświęca i umieszcza w paschale pięć ziarn kadzidła, utykając je w formie krzyża. Uroczystości towarzyszy wspaniały śpiew „Exsultet", wyrażający radość niebios i ziemi, na które pada chwała Zbawiciela. Po odczytaniu 12 proroctw ze St. Testamentu, odnoszących się do Zbawiciela, kapłan poświęca wodę chrzcielną. Następnie chór śpiewa Litanię do W. Świętych, podczas której kapłan leży krzyżem przed ołtarzem. Pod koniec litanii kapłan wdziewa biały ornat i zaczyna mszę św.

Msza św. w W. Sobotę ma charakter radosny, jest to bowiem msza odprawiana dawniej w noc Zmartwychwstania. W ten też dzień katechumeni otrzymywali chrzest. Dlatego w tekstach tej mszy znajdujemy już wspomnienie Zmartwychwstania (Ewangelia i Lekcja). Zaczyna się ta msza od spowiedzi powszechnej (Confiteor), po której kapłan intonuje uroczyste „Gloria", na które uderzają wszystkie dzwony i grają organy. Oracja mszalna wstawia się za nowoochrzczonymi a więc i za wszystkimi, którzy powrócili do Boga. Po Lekcji kapłan śpiewa trzykrotne Alleluja. Po komunii wierni zaczynają śpiewać nieszpory.

W W. Sobotę od południa przestają obowiązywać przepisy W. Postu.

W Polsce w sobotę przed wieczorem lub w niedzielę Wielkanocną rano odbywa się nabożeństwo nazywane **Rezurekcją.** Zaczyna się ono od uroczystej procesji z N. Sakramentem, który kapłan intonując „Wesoły nam dzień dziś nastał" zabiera z Bożego Grobu. Po procesji, w której jest niesiony paschał, krzyż przewiązany czerwoną stułą i figura Zmartwychwstałego Chrystusa, kapłan klęka przed ołtarzem i podnosząc coraz wyżej krzyż śpiewa trzykrotnie „Surrexit Dominus de sepulcro" — „Zmartwychwstał Pan z grobu", co chór powtarza. Następnie śpiewana jest część brewiarza. Na koniec obecni śpiewają hymn kościelny „Te Deum laudamus", po którym kapłan udziela błogosławieństwa N. Sakramentem.

Innym zwyczajem czysto polskim jest święcenie pokarmów wielkanocnych, a zwłaszcza jaj, którymi dzielimy się składając sobie wzajemnie życzenia.

W czasie naszego pobytu na obczyźnie starajmy się brać jak najżywszy udział w katolickich nabożeństwach W. Tygodnia, w polskich obrzędach i zwyczajach wielkopostnych i wielkanocnych, które nas łączą z naszym krajem i obyczajem.

WIESŁAW ŻYLIŃSKI

TRAGEDIA KOŚCIOŁA GREKO-KATOLICKIEGO W POLSCE

(Przypomnienie w trzecią rocznicę likwidacji)

TRAGEDIA Kościoła greko-katolickiego w Polsce rozpoczyna się wraz ze śmiercią duchowego przywódcy społeczeństwa ukraińskiego ks. metropolity Andrzeja Szeptyckiego, prawnuka Fredry i rodzonego brata generała broni Stanisława. Umiera metropolita w zagadkowych okolicznościach w pierwszych dniach listopada 1944 r., po odbytej w przeddzień konferencji w N.K.W.D. i na jego zaproszenie. Były to czasy świeżej reokupacji Ziem Wschodnich przez Armię Czerwoną. Istnieją poszlaki, że po przyjęciu, wydanym przez sowieciarzy „na cześć" metropolity, umarł on z otrucia... Sposób prosty i radykalny, dalsze bowiem kierowanie przez metropolitę Szeptyckiego Kościołem greko-katolickim, kto wie, czy pozwoliłoby bolszewikom na tak szybką likwidację tego Kościoła. Nie oszczędzono znakomitemu zmarłemu ostatniej posługi — w obrządku prawosławnym. „Ukradziono" go dla prawosławia ... po śmierci.

Tragiczne były to miesiące — marzec i kwiecień na przestrzeni lat 1945 - 46 dla Kościoła greko-katolickiego w Polsce. W kwietniu 1945 zostali aresztowani przez władze sowieckie metropolita Slipyj, biskupi Chomyszyn, Czarnecki, Butka i Latyszewski wraz z kilkunastoma wybitniejszymi duchownymi. Później poczet aresztowanych biskupów powiększyli biskupi Kocyłowski i Łakota, tak iż na wolności nie został ani jeden biskup greko-katolicki, z wyjątkiem ks. biskupa Buczki, który znajdował się w Rzymie i nie był osiągalny dla sowieckiej policji politycznej.

Już 28 maja 1945 roku ukazuje się odezwa do duchowieństwa greko-katolickiego „w zachodniej Ukrainie", podpisana przez 3 apostatów ks. ks. Kostelnyka, Melnyka i Pelweckiego. Odezwa informuje o powstaniu, za zgodą władz sowieckich, Komitetu Inicjatywy połączenia Kościoła greko-katolickiego z rosyjską Cerkwią prawosławną i zapowiada objęcie administracji kościelnej przez ten Komitet. Dalej wzywa odezwa wszystkich duchownych do przystępowania do Komitetu, który „stoi zdecydowanie na platformie szczerego patriotyzmu w stosunku do Ukraińskiej SSR i Związku Sowieckiego, jako całości, „co ma być podyktowane" przez zdrowy rozsądek i przez serce ukraińskie".

Tegoż dnia Komitet Inicjatywy zwrócił się z petycją do Rady Komisarzy Ludowych Ukraińskiej Republiki z prośbą o wyrażenie zgody na ...inicjatywę połączenia greko-katolików z Kościołem prawosławnym i na przeprowadzenie rejestracji duchownych.

Apel do duchowieństwa dał żałosne wyniki: tylko 42 duchownych zgłosiło swoją... apostazję. To też rozpoczęły się aresztowania duchownych i świeckich osób. W początkach akcji naliczyć już było można do 500 aresztowanych księży. Ponadto odbyła się deportacja ludności ukraińskiej do Rosji: rodziny były rozdzielane — ojców i mężów wywożono w jedne okolice Sybiru, a matki i żony w inne okolice w głębi Związku Sowieckiego. Dzieci oddawano do komunistycznych ochron, rozsianych po całej Rosji.

Tymczasem dnia 18 czerwca 1945 roku nadeszła odpowiedź rządu ukraińskiego. Ustalał on Komitet Inicjatywy jako „oficjalnie uznany za jedyne kościelne i kanoniczne ciało, mające prawo kontroli bez ograniczeń parafii greko-katolickich w zachodniej Ukrainie i popierania ich połączenia z Kościołem prawosławnym." Dawał Komitetowi pełne prawa zarządzania parafiami „w porozumieniu z przedstawicielem Rady Komisarzy dla spraw rosyjskiego Kościoła prawosławnego przy Radzie Komisarzy Ludowych Ukraińskiej Republiki." Zarządzał wreszcie w miarę postępującej rejestracji duchownych nadsyłanie przedstawicielowi wspomnianej wyżej Rady wykazów kleru, przełożonych domów religijnych i dziekanów, „którzy odmawiają poddania się Komitetowi Inicjatywy".

Przerażenie i rozpacz ogarnęły duchowieństwo, które zebrało się w dniu 1 lipca 1945 r. w katedrze św. Jura i zdecydowało na zwrócenie się do Komisarza Spraw Zagranicznych, Mołotowa ze specjalną petycją. Duchowieństwo stawało w tej petycji na gruncie „najczystszego patriotyzmu do Ukraińskiej S.S.R. i do Związku Sowieckiego", ale równocześnie odrzucało inicjatywę ks. Kostelnyka i jego towarzyszy. Żądało prawa niezależnej administracji kościelnej i zwolnienia z więzienia metropolity i biskupów. Powołano się wreszcie na... konstytucję stalinowską, gwarantującą wolność sumienia i praktyk religijnych. Stwierdzało w zakończeniu, że prosi jedynie „o tę wolność administracji kościelnej, którą cieszyliśmy się w ostatnich stuleciach i do której zgodnie z ustawodawstwem sowieckim mamy prawo".

Odpowiedzią władz sowieckich było zarządzenie dalszych aresztowań wśród duchowieństwa i wiernych oraz masowa deportacja wgłąb Rosji sowieckiej ludności ukraińskiej.

Zbliżał się złowróżbny marzec 1946 r. Już w lutym tego roku Prezydium Komitetu Inicjatywy złożyło wizytę prawosławnemu metropolicie kijowskiemu, Joannowi i omówiło z nim szczegółowy plan likwidacji Kościoła greko-katolickiego. Pierwszych 13 apostatów, łącznie z prezydium Komitetu, przyjęło prawosławie. Księża Melnyk i Pełwecki zostali biskupami prawosławnymi, a ksiądz prezes Kostelnyk — protoprezbitrem.

W dniach 8-9 marca 1946 r. zebrał się we Lwowie sobór greko-katolicki z prawosławnymi prowodyrami Komitetu Inicjatywy na czele. Na sobór przybyło 216 osób, z czego 204 księży i 12 świeckich. Doniesienia sowieckie stwierdzały, że delegaci ci reprezentowali wolę 986 księży. Ze stwierdzenia tego wynika, że delegaci ci — część z nich była wybrana w dekanatach, a część wyznaczona przez Komitet Inicjatywy — reprezentując wolę około 1 tysiąca ludzi, postanowili zlikwidować cały Kościół greko-katolicki, liczący blisko 3 miliony 500 tysięcy wyznawców.

Po wystąpieniach oratorskich ks. Kostelnyka i paru innych, operujących fałszerstwami historycznymi, politycznymi i kościelnymi, sławiącymi Stalina, Armię Czerwoną i zjednoczenie Ukrainy, łżącymi Kościół katolicki i Polskę — Sobór uchwalił:

1). zlikwidować Unię z 1596 r.,
2). odłączyć się od Rzymu,
3). powrócić do prawosławnej wiary praojców,
4). przyłączyć się ponownie (?!) do rosyjskiej Cerkwi prawosławnej.

Dnia 9 marca w katedrze św. Jura odbyła się uroczystość kościelna przystąpienia 204 duchownych delegatów do prawosławia. Przebieg soboru, jak i powzięte uchwały dostatecznie jasno wykazują cele polityczne dokonanego gwałtu nad wyznaniem greko-katolickim. Telegram wiernopoddańczy do Stalina dobitnie charakteryzuje sukurs, jakiego udzielił sobór lwowski imperialistycznej polityce Moskwy.

W telegramie tym czytamy, że przed 350 laty imperialistyczna, szlachecka Polska, dążąc do zniewolenia ziem ukraińskich, siłą oderwanych od pnia macierzystego, podarła jedność religijno-kościelną tych ziem z jednoplemiennym Wschodem przy pomocy dumnego i dążącego do władzy Rzymu, który marzy o dyktaturze w świecie chrześcijańskim. Obecnie na oczach naszych doknał się akt historycznej sprawiedliwości dzięki heroicznym czynom prawdziwie narodowej Armii Cerwonej i całego Związku Sowieckiego. Pod genialnym kierownictwem Stalina zostało zrealizowane to, o co walczyły najlepsze pokolenia narodu ukraińskiego... Zostały zebrane w jedno wszystkie ziemie ukraińskie od Cisy, poprzez Karpaty i od Sanu do Donu, i od pińskich błot od morza Czarnego. I tak dalej — w upakarzającym zachłyśnięciu same kłamstwa, fałszerstwa, podlizywanie się i płaszczenie.

Wydana na Soborze odezwa do duchowieństwa wzywa do... opamiętania się i szybkiego powrotu do prawosławnej Cerkwi rosyjskiej. Przez to właśnie odezwa ta jest bardzo wymowna i świadczy o sile wytrwania przy wierze dotychczasowej duchow-

nych greko-katolickich i pogardzie ich dla zdrajców i odstępców. Pomimo więzienia, deportacji i prześladowania.

*

Dnia 4 kwietnia 1946 r. przybyła do Moskwy delegacja Soboru lwowskiego. Oto nazwiska odstępców — agentów sowieckich: Ks. protoprezbiter Kostelnyk, biskup Melnyk, biskup Pełwecki oraz księża Juryk i Łotoczyński. Podejmował delegację przedstawiciel Rady Państwowej dla spraw rosyjskej Cerkwi prawosławnej i patriarcha moskiewski Aleksy. Przyjęcia na Kremlu nie było.

Rekapitulację zdrady kościelnej i narodowej przeprowadził w wywiadzie prasowym z przedstawicielem Tassa sam ks. protoprezbiter Kostelnyk. Według niego Sobór lwowski położył kres wielowiekowym ciężkim przeżyciem Cerkwi Wschodniej pod jarzmem rzymskim, położył kres kościelnym sporom w narodzie ukraińskim. Obecnie nadszedł czas „kiedy łączy nas i wiara, i historia, i dusza, i język," a jednocześnie nic nie dzieli. Podał też ks. Kostelnyk trochę cyfr, z których wywnioskujemy o bilansie akcji likwidacyjnej.

Do Komitetu Inicjatywy przyłączyło się w drodze osobistej deklaracji 997 księży, co w stosunku do 1270 księży, pozostających w Kościele greko-katolickim zachodnich okręgów Ukrainy stanowi 78%. Statystyka ta wymaga sprostowań. Encyklika papieska na 350-lecie Unii stwierdza, że Kościół ten liczył 2275 księży. Rozbieżność w twierdzeniu ks. Kostelnyka wynosi cyfrę ponad 1 tysiąca duchownych. Stąd wypływa wniosek oczywisty, że tych ponad 1000 duchownych znalazło się w więzieniach sowieckich lub deportowanych zostało do przymusowych obozów pracy w głębi Rosji. Tak samo jest wątpliwe czy cyfra 997 księży, którzy przystąpili do Komitetu Inicjatywy, odpowiada prawdzie, skoro nie we wszystkich dekanatach odbyły się wybory delegatów i nie wszyscy delegaci mieli upoważnienie od duchowieństwa. Przecież za delegatów byli uznani i ci księża, którzy przybyli na Sobór z własnej inicjatywy. Wprawdzie po stronie nowej granicy polskiej została część diecezji przemyskiej, ale skoro na terenie rzekomo „niezależnej" i rzekomo „suwerennej" Polski zostali przez N.K.W.D. aresztowani kierownicy tej diecezji biskupi Kocyłowski i Łakota, to wnosić należy, że wytępiono też i poszczególnych księży, aby Kościół pozbawić organizacji, a wiernych — życia religijnego. Za rzecz pewną więc uznać należy, że do prawosławia przystąpiło tylko 204 delegatów, przybyłych na Sobór lwowski, a ponadto 13 duchownych, przyjętych do prawosławia w lutym w Kijowie. Na 2275 ogółu księży stanowi tylko niecałe 10%!

Dla całości obrazu dodać należy, że na przełomie 1946-47 r. aresztowani biskupi zostali skazani przez Trybunał wojenny w Kijowie na kilka lat więzienia z oskarżenia o zbrodnie stanu przeciwko państwu sowieckiemu. Biskupi Chomyszyn i Butka podobno zmarli, metropolita Slipyj dogorywa w więzieniu w Jenisiejsku. Według radia watykańskiego tylko 5% duchowieństwa podporządkowało się hierarchii prawosławnej, a wyznawcy świeccy stawiają czynny i bierny opór, uchodząc w podziemia z obawy przed deportacją, więzieniem i prześladowaniem.

Masa narodu pozostaje nadal katolicka.

*

Próba likwidacji Kościoła greko-katolickiego w Polsce miała trzy cele na oku.

Po **pierwsze,** chodziło o zlikwidowanie katolicyzmu na ziemiach włączonych do Związku sowieckiego. Katolicyzm bronił przed rusyfikacją, pielęgnował zachodnią kulturę, na rodzimym pniu, a obrządek greko-katolicki zapewniał ukraińską świadomość narodową.

Po **wtóre,** chodziło o zlikwidowanie najbardziej uświadomionej części narodu ukraińskiego, jego inteligencji, dążącej do uzyskania niepodległego państwa dla swego narodu. Ukraińcy polscy stanowili Piemont niepodległościowy o silnej i zwartej kulturze i organizacji.

Po **trzecie** — chodziło o zlikwidowanie katolickich „zarazków zachodnich" tak nienawistnych Związkowi sowieckiemu, wyznającemu dyktaturę w ustroju politycznym i uprawiającemu cezaropapizm w stosunkach kościelnych. Sowiety nie mogą tolerować na przemocą zabranych terytoriach obcej sobie kultury.

I katolicyzm i katolicka kultura zachodnia i niepodległościowe dążenia Ukraińców nie były strawne dla Związku sowieckiego, którego imperializm, ściśle już rosyjski, nacjonalistyczny, dąży do podboju i przerobienia nie tylko Europy, ale i świata. To też słusznie już przed 80 laty pisał jeden z największych publicystów polskich na przestrzeni całych naszych dziejów, Julian Klaczko: „Przerobić dzieło Boże, przetopić duszę, zmusić istotę ludzką do zmiany jestestwa osobistości, płci nawet — oto idea rosyjska, oto system rosyjski w Polsce". I na widok bezradności świata wobec niszczycielskiej siły, idącej od wschodu dodawał Klaczko: **„Bierze ochota zapytać się, czy nasze nieszczęśliwe czasy nie mają już żadnej dźwigni moralnej, czy w naszej społeczności wszystko oddane jest na łaskę ślepej siły mechnicznej, czysto materialnego prawa siły?"...**

Likwidacja przez Związek Sowiecki na oczach całego świata cywilizowanego, Kościoła greko-katolickiego, liczącego 3 pół miliona wyznawców, jest jak dotąd, potwierdzeniem wątpliwości znakomitego pisarza polskiego.

Wiesław Żyliński

LIST Z HOSTELU

DLA Polaków są one przytułkami, bo czymże są hostele, bez względu na to, gdzie istnieją i skąd wyrastają? Mieszkają w nich ludzie bezdomni, choć nie jeden z obecnych mieszkańców, przyzwyczajony od lat do życia obozowego, prawdopodobnie nie zdążył się jeszcze zbyt głęboko zastanowić nad skutkami swego koczowniczego bytowania.

Człowiek bez domu, a przynajmniej bez własnego kąta, którego nie **musi** dzielić z drugim, bynajmniej nie żyje. On tylko wegetuje, spełniając szereg funkcji użyźniających wegetację. Nie inaczej więc musimy traktować hostele jak zwyczajne zło konieczne, wyrosłe na podłożu skutków wojennych. Każda przecież wojna pozostawiała, jako skutek najdotkliwiej uderzający społeczeństwo, brak mieszkań, rozbicie rodzin, brak szkół i t.d.

Trzon i rdzeń Wojska Polskiego pozostałego w Anglii, przeniósł się już prawie w całości z obozów do tych „przytułków". Niektóre obozy powojskowe zostały zamienione na osiedla rodzin, o które dba zwykle właściwa terytorialnie gmina. Niektóre gminy zabrały się naprawdę bardzo szczerze do rekonstrukcji takich osiedli, co trzeba tu z całym uznaniem podkreślić. Lokatorzy płacą stosunkowo niski czynsz tygodniowy nie przekraczający 9/- za cały barak.

Finał obecnych przenosin dotyka przeważnie grubszej szarży oficerów i podoficerów. Zawstydzająco duży odsetek żołnierzy, licząc zbyt pewnie na sprawdzenie się przepowiedni Wernyhory i innych „wieszczów", nie przygotował się w ogóle do życia cywilnego, ba, nawet nie starał się opanować języka angielskiego. A teraz? Jest bogatszy o doświadczenie zmarnowanych dwu lat. Zderzenie z twardą rzeczywistością jest dość bolesne.

Czy istnieje jakaś różnica między obozem wojskowym a hostelem? Jeśli chodzi o sposób mieszkania, nie jest ona zbyt wielka. We wszystkich innych wypadkach jednak jest ona zasadnicza. Za wszystko trzeba tu płacić własnymi, ciężko zarobionymi pieniądzmi. Są to kwoty stosunkowo nie duże, bo około 30/- tygodniowo, ale o ile cięższą wagę mają one w życiu cywilnym...

Cenę pieniądza zaczynamy przeliczać na własny trud, połączony w początkowym okresie pracy fizycznej z bólem w kościach i straszliwym zmęczeniem. Później wszystko to ustępuje rutynie, według znanej bolszewickiej zasady: „Prywikniosz gołubczyk".

Oczywiście, że hostel hostelowi nie równy. Można je łatwo podzielić według stopni szkolnych na celujące, bardzo dobre, dobre ,dostateczne i całkiem niedorozwinięte. Poziom zależy od bardzo wielu przyczyn, z których podam tu tylko kilka, a więc:

Budynki, z których najgorsze, to „beczki śmiechu."

Właściciel, — często właśnie kapitalista prywatny jest najlepszym gospodarzem, a nie instytucje charytatywne, jak by się zdawało.

Liczba mieszkańców: Waha się od 15 do 1500, a czasami nawet więcej.

Skala wyżywienia: Waha się taksamo jak liczba mieszkańców, choć nie jest wcale od niej zależną. Są hostele, gdzie dają trzy mizerne posiłki na dobę, a resztę trzeba sobie dośpiewać; są takie, gdzie za tych samych 30/- dają 5 wspaniałych posiłków, wobec których dzisiejsze obiady angielskie w pierwszorzędnym hotelu, to kpiny z zdrowego „żołądka". Skala wyżywienia zależy od kategorii robotników zamieszkujących taką zbiorową jadalnio-sypialnię.

Najwyższą skalę wyżywienia (Highest ration scale for industrial workers) mają oczywiście hostele górnicze, jak wogóle hostele dla robotników pracujących w ciężkim przemyśle, do którego jest zaliczony przemysł leśny.

Dużo zależy od kierownika hostelu, dużo od kucharza, dużo od obsługi. Biada mieszkańcom hostelu, którym rządzi ospały kierownik albo wręcz służba kuchenna. Porcje masła, szynki (jest i szynka, jest!) bekonu, cukru i innych szlachetniejszych wiktuałów, dziwnie się zmniejszają a za to zwiększają się porcje kartofli i sosów z różnych „Bisto" i „Oxo."

Wogóle, wszystkich dobrych ludzi, żyjących przy mieszkańcach i z mieszkańców hostelu, trzeba z wielkim zaparciem ducha pilnować, zaczynając od dostawców, przesadzających czasem w gorliwości uprawiania „businessu" a kończywszy na... na, mniejsza z tym, na kim — aby nie było obrazy.

Drobne te „mankamenta" dobry i taktowny kierownik szybko likwiduje.

Tak więc jak wszędzie w życiu i wśród ludzi, różnie w różnych hostelach bywa.

Ogólnie jednak, powszechne zadowolenie, lub powszechne niezadowolenia mieszkańców zależy od ich własnej postawy społecznej i życiowej. Dobry Komitet hostelowy (tak zwany samorząd) potrafi nie raz więcej zdziałać, niż dziesięciu genialnych kierowników. Polacy, często zdają niestety tylko z trudem egzamin z **zakresu wartości organizacyjnych.** Nie potrafią znaleźć „złotego środka" swojej postawy. Albo przesadzają w zaczepności, albo też, machając na wszystko ręką, zachowują postawę całkiem bierną.

Gadaniem i krzykiem ponoć raz kiedyś obalono mury. Czy jednak da się w taki sam sposób zorganizować życie społeczne w hostelach lub poza hostelami — mocno w to wątpię.

Niech więc rodacy pożegnają jaknajwcześniej hostele i przenoszą się do zwykych siedzib ludzkich. Lecz i w tym musi być pewien plan, o którym pomówię później.

Kabe

REKOLEKCJE I POST

Dokończenie ze str. 3

tubylcza, mieszkająca na okrainach Burmy dalekiej. A my? Chrześcijanie? Katolicy? Wierzący? Zapisani w spisy zbawionych — przynajmniej mocą Chrztu św.? Czy ten przykład postów, rekolekcyj i troski o pogłębienie wiary występujący u dalekich wieśniaków azjatyckich nie powinien przemówić do nas chociażby w czasie Wielkiego Tygodnia? Ileż więcej od nich otrzymaliśmy! A jakże nie wiele korzystamy. Myślimy tylko o czasie lecz zapominamy o wieczności. Bożek czasu zabił w nas wszelką myśl o wieczności...

Lecz — przepraszam! Wszak nie miało to być kazanie, jedynie cytał z interesującej książki, który sam posiada dostateczną wymowę.

Może miał trochę racji nieszczęśliwy Wilde, twierdząc, że jedynym sposobem uwolnienia się od pokusy jest ulec jej... Są bowiem różne pokusy. Uległem, i kupiłem książkę. Nie żałuję.

Franciszek Zawadzki

Książki na składzie

O. Marian Pirożyński, redemptorysta: ŹRÓDŁO ŻYCIA. Nakład Księgarni „Postęp", Wrocław 1946. Stron 214. Cena 3/6.

O. Marian Pirożyński, KSZTAŁCENIE CHARAKTERU. Wydanie II. Wrocław 1949. Stron 146. Cena 3/-

O. Marian Pirożyński: O. BERNARD ŁUBIEŃSKI. Nakład OO. Redemptorystów, Wrocław 1949. Stron 288. Cena 15/-

O. Jacek Woroniecki OP.: KRÓLEWSKIE KAPŁAŃSTWO. Studium o powołaniu i wychowaniu kapłana katolickiego. Wydanie III. Nakład „Homo Dei", Wrocław 1947. Stron 158. Cena 4/-

Ks. Adam Ludwik Szafrański: KAPŁAN A PROBLEM POWOŁANIA. Wydanie OO. Redemptorystów, Wrocław 1948. Stron 104. Cena 1/6.

Daniel Rops: ŚWIAT BEZ DUSZY. Nakład księgarni „Homo Dei", Wrocław 1948. Stron 182. Cena 4/6.

Jędrzej Giertych: PÓŁ WIEKU POLITYKI POLSKIEJ. Uwagi o polityce Dmowskiego i polityce polskiej lat 1919—39 i 1939—47. Zachodnie Niemcy 1947. Stron 270. Cena 12/-

Wacław Grubiński: MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM. Nakład Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Londyn 1948. Stron 365. Cena 12/6.

Dr Stanisław Skrzypek: UKRAIŃSKI PROGRAM PAŃSTWOWY NA TLE RZECZYWISTOŚCI. Nakład Związku Ziem Południowo-Wschodnich RP. Londyn 1948. Stron 196. Mapa zasięgu terytorialnego aspiracji Ukraińców. Cena 6/-

Zygmunt Wojciechowski: PAŃSTWO POLSKIE W WIEKACH ŚREDNICH. Dzieje ustroju. Wydanie II. Księgarnia Akademicka, Poznań 1948. Stron 408. Cena 18/6.

Stanisław Wasylewski: W SREBRNYM DWORKU Z MODRZEWIA. Wydanie „Rybitwa", bez miejsca i daty. Stron 168. Ilustrowana wielobarwna obwoluta. Cena 10/6.

Kwiatki świętego Franciszka z Asyżu w przekładzie i ze wstępem Leopolda Staffa. Wydanie krajowe, 1948. Iluminaty Marii Hiszpańskiej. Stron 354. Cena 18/-

Nino Salvaneschi: ŻAL SZOPENOWSKI. Tłumaczyła Ewelina Bocca Radońska. Biblioteka Orła Białego, Rzym 1946. Stron 175. Cena 3/3.

Kardynał E. C. Suhard, arcybiskup Paryża: ZMIERZCH CZY ROZKWIT KOŚCIOŁA? Tłumaczyła z francuskiego Maria Winowska. Wydawnictwo „Słowa Katolickiego", Niemcy 1949. Stron 56, ilustrowana barwna okładka. Cena 2/6.

Wojciech Wasiutyński: RUINY I FUNDAMENTY. Londyn 1947. Stron 142. Cena 5/-

J. Zych: ROSJA WOBEC POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. Przedmowa gen. Tadeusza Bór-Komorowskiego. Contemporary Life and Culture, Londyn 1947. Stron 50. Cena 9 d.

Bolesław Prus: NAWRÓCONY. Wyd. „Jutra Pracy", Niemcy 1946. Stron 25. Cena 6 d.

Bolesław Prus: ANTEK. Wyd. „Jutra Pracy", Niemcy 1946. Stron 40. Cena 9d.

Wszystkie wymienione książki są do nabycia w **Katolickim Ośrodku Wydawniczym VERITAS, 12, Praed Mews, London, W.2.** Oprócz kwoty za książkę należy dołączyć **6 d** na porto.

Nie dość jest czytać ŻYCIE samemu.
Trzeba zachęcać innych.
Czy pamiętasz o tym?
Czy zjednałeś nam prenumeratorów?

Numer następny: stron 12. Cena 1 sh.

DYSKUSJE

JĘDRZEJ GIERTYCH

WSCHÓD CZY ZACHÓD?

W PRZEDOSTATNIM numerze ŻYCIA (13/92) znalazłem aż trzy kwestie, które skłoniły mnie do podjęcia dyskusji.

Po pierwsze, zagadnienie „Wschód" czy „Zachód" — z art. p. Tokarskiego „Kościół ziemskich nadziei": — czy należymy do Zachodu, czy też czujemy się czymś od Zachodu odległym? *)

Trzeba przede wszystkim umówić się, co pod wyrazami „Wschód" i „Zachód" rozumiemy.

Zaczęło się w ostatnich czasach — na północnym zachodzie Europy oraz w Ameryce—rozpowszechniać pojęcie „Zachodu", jako świata cywilizacji materialistycznej, duchowo wywodzącej się z protestantyzmu, za podstawę mającej ustròj gospodarczy, oparty na wielkim handlu i płynnym kapitale — i przeciwstawianej europejskiemu „Wschodowi", opartemu o rolnictwo i zacofanemu. Bodaj, czy nie najdobitniej — choć bardzo prymitywnie i nieściśle — sformułował ostatnio to przeciwstawienie w książce „Les grands courants de l'histoire universelle" opowiadający się po stronie materialistycznego Zachodu belgijski historyk Jacques Pirenne (którego nie należy mieszać z jego wielkim ojcem Henri). Do tak pojętego Zachodu oczywiście nie należymy i należeć nie mamy ochoty.

Wydaje mí się jednak, że o wiele bardziej słusznym jest używanie wyrazu „Zachód" na określenie świata tej cywilizacji, którą Feliks Koneczny nazywa „cywilizacją łacińską". Jest to świat św. Tomasza z Akwinu, św. Dominika, św. Benedykta, św. Franciszka z Asyżu, św. Ignacego, świat krucjat, świat katedr gotyckich i barokowych świątyń kontrreformacji, świat Dantego i Cervantesa, a choćby także świat Chestertona i kardynała Newmana. Do świata tego należymy bezspornie. Należymy o wiele pełniej, niż np. Niemcy czy Czechy — w senie materialistycznym, o wiele bardziej od nas „zachodnie". Nasz Paweł z Brudzewa, nasz Piotr Skarga, nasz hetman Żółkiewski, nasz św. Jacek Odrowąż, nasz kardynał Hozjusz, nasz „Pan Tadeusz" i „Potop" — przecież to najczystszy, najbardziej „łaciński" (według terminologii Konecznego) Zachód — w obecnej chwili dziejowej, śmiem twierdzić, o wiele prawdziwszy, niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie. Mamy, oczywiście oblicze odrębne i własne, z którego jesteśmy dumni — ale odrębność ta nie jest większa, niż np. odrębność Włoch, czy Hiszpanii, czy Francji, które przecież wszystkie też między sobą się różnią. Są w naszym życiu też i pierwiastki wschodnie, pozałacińskie (np. bizantyńskie, zaczerpnięte z Rusi, a nawet tatarskie), ale są one dobrze wchłonięte i nie zniekształcają łacińskości naszego oblicza więcej, niż np. pierwiastki arabskie w ojczyźnie św. Ignacego, Hiszpanii.

Naszą misją dziejową nie jest stwarzanie syntezy Wschodu i Zachodu, ale jest kultywowanie wartości, składających się na cywilizację zachodnią i promieniowania tą cywilizacją na kraje cywilizacyjnie prymitywne, lub obniżone przez nowoczesny materializm zarówno w jego odmianie sowieckiej, jak „zachodniej".

Wydaje mi się, że nadchodzi epoka, gdy w świecie cywilizacji zachodniej dzierżyć będziemy prym i że w sensie cywilizacyjnym i duchowym będziemy Zachodowi przodować i będziemy tego Zachodu stolicą. Nie odwracajmy się więc od Zachodu — ale powiedzmy sobie, że jesteśmy Zachodem prawdziwszym, niż gdzie indziej, bo nie rozłożonym i nie podupadłym. Poczujmy się odpowiedzialni za losy cywilizacji zachodniej — w jej światowym całokształcie — i powołani do jej kultywowania, dźwigania i dalszego, w nowych warunkach nowej epoki, rozwijania.

Oczywiście, nasza zachodnia, „łacińska" samoafirmacja nie oznacza bynajmniej, byśmy się mieli nad inne cywilizacje wywyższać. Cywilizacja chińsko-japońska, induska, arabska, a wreszcie grecka (wschodnio-chrześcijańska) także mają własne wartości, których nie potrzebujemy negować. Religia, a cywilizacja to są dwie rzeczy różne. Japonia np. może się stać katolicką wyznaniowo, a zachować swą własną cywilizację. Rzecz jednak w tym, że jeśli o nas chodzi, to jesteśmy zachodni nie tylko w sensie wyznaniowym (obrządek łaciński), ale i cywilizacyjnym.

*

DRUGA kwestia, której muszę się sprzeciwić, to jest wypowiedziana aż w dwuch artykułach — ale dobitniej w artykule p. W. A. Zbyszewskiego *„Katolicy i Palestyna"* — myśl, że w konflikcie palestyńskim powinniśmy darzyć sympatiami stronę żydowską.

Nie jest naszym prawem krytykować wyroki Opatrzności. Zapewne zwycięstwo żydowskie w Palestynie, mające w sobie coś z cudu — zostało w planach Bożych postanowione nie bez przyczyny. Być może oznacza ono bliski koniec świata. Być może jest ono ukazaniem triumfu uciśnionych, — daniem Żydom największego zwycięstwa naprzekór największym prześladowaniom, przez które przeszli. Być może jest ono drogą wiodącą Żydów do Chrystusa; — otwierającą możliwość ich przyszłego nawrócenia. Być może wreszcie jest ono karą za jakieś grzechy Arabów, albo — kto wie? — karą za grzechy nas, katolików, bo wszak o naszą Ziemię Świętą, bronioną ongiś przez krzyżowców, chodzi. Ale wyroków Opatrzności nie znamy.

Nie da się również zaprzeczyć, że na rzecz Żydów przemawiają wielkie racje subiektywne. Byli prześladowani — i jakieś miejsce schronienia im się należy. Palestyna jest ich ojczyzną. Utracili ją temu 2000 lat, — inni mają wobec niej swoje „prawa nabyte", — ale jest faktem, że Żydzi innej Ojczyzny nie mają, nie przestali jej kochać i subiektywnie są z nią nierozerwalnymi węzłami związani. Wreszcie, włożyli w Palestynę ogrom wspaniałego i godnego szacunku wysiłku i taki zasób poświęceń, że trudno tego nie brać w rachubę.

Medal ma jednak i stronę odwrotną. Arabowie też uważają Palestynę za swoją ojczyznę. Wyrzucono ich z ich siedzib z bezprzykładną brutalnością. 800 tys. ludności arabskiej, a w tej liczbie 80.000 chrześcijan — wypędzono z odwiecznych gniazd w okolice pustynne, gdzie dosłownie wymierają z głodu. W samym tylko okręgu Gazy (pod okupacją egipską), uchodźcy umierają po 200 — 300 dziennie — w ciągu 3 miesięcy wymarło tam około 10 proc. ogółu uchodźców! W pierwszych dniach wojny palestyńskiej miały nawet miejsce wypadki rzezi, której ofiarami padała ludność arabska, nie wyłączając starców i niemowląt. A Arabowie niczym wobec Żydów nie zawinili; Żydzi mszczą się na nich za zbrodnie Hitlera, w których przecież nie uczestniczyli. Cobyśmy byli powiedzieli po pierwszej wojnie światowej, gdyby Ormianie, na których Kemal-Pasza popełnił przecież nie mniejszą zbrodnię, niż Hitler na Żydach, uderzyli np. na Gruzinów, wygnali ich z ich ojczyzny, skazali częściowo na śmierć głodową i założyli sobie w Gruzji swoje państwo? Czy stalibyśmy sympatiami w tym konflikcie po stronie Ormian przeciwko Gruzinom? Nie ma żadnego porównania między wygnaniem Arabów z Galilei a Niemców z Wrocławskiego Śląska. W tym ostatnim wypadku naród niemiecki zapłacił za swoje własne zbrodnie. Za czyje zbrodnie zapłacili Żydom Arabowie?

Sprawa jest szczególnie delikatna jeszcze z tego względu, że ofiarami Żydów stali się także i chrześcijanie. Czy możemy aprobować wygnanie chrześcijan np. z Nazaretu — tych chrześcijan, w których żyłach płynie krew dawnych uczniów i naocznych świadków życia Chrystusa Pana? Tych chrześcijan, którzy nieprzerwanie od czasów Chrystusa Pana w Nazarecie i innych miejscach Ziemi Świętej żyli? Czy możemy aprobować najazd na Ziemię Świętą wojsk, które z mściwą satysfakcją profanują chrześcijańskie kościoły, ołtarze, krucyfiksy? Przeczytajmy, co na te tematy pisze katolicka prasa francuska i amerykańska — z pewnością nie odbierająca dyrektyw z angielskiego Foreign Office!

Reszta Arabów palestyńskich, to są muzułmanie, to prawda. P. Zbyszewski przypomina, że Islam jest tradycyjnym wrogiem chrześcijaństwa. I to też jest prawda. *Ale muzułmanie wierzą w Boga.* A czy wszyscy sjoniści wierzą w Boga? Republika Izraelska nie jest dziełem Żydów religijnych. Obawiam się, że republika ta, ze swoim komunistycznym ustrojem agrarnym, ze swoją ultra-postępowością, ze swoją brutalnością metod, wzorowanych na Hitlerze, będzie nad brzegami Morza Śródziemnego placówką cywilizacji materialistycznej, pod wielu względami podobnej Sowietom.

A wreszcie strona polityczna zagadnienia. Jest rzeczą prawdopodobną (choć nie można tego jeszcze uważać za pewnik), że republika Izraelska w narastającym światowym konflikcie z motywow czysto politycznych opowie się po stronie anglosaskiej. Ale politycznie nie ma to wielkiego znaczenia. Natomiast wielkie znaczenie polityczne ma na wypadek konfliktu stanowisko świata arabskiego. Bliski Wschód, ze swoim kluczowym położeniem geograficznym i ze swoją naftą, jest być może kluczem przyszłej wojny. Czy można prowadzić wojnę z Rosją na Bliskim Wschodzie, jeśli świat arabski opowie się po stronie Rosji i jeśli w konsekwencji również i stanowisko Pakistanu, a może nawet i Persji, będzie zachwiane? Świat arabski jest w wyniku wydarzeń politycznych w stanie głębokiego fermentu. Nawet drobne przyczyny mogą mieć, jeśli idzie o podstawę tego świata, groźne skutki. Sprawa palestyńska może mieć na postawę Arabów i całego świata muzałmańskiego wpływ decydujący. Nie chodzi tu o to, co się stanie z Izraelem. Chodzi o to, co stanie z krajami arabskimi. Co więcej: nie chodzi tu o to, by te kraje pozyskać; chodzi tylko o to by ich do reszty nie zrazić. Nie dziwmy się Anglii, że taką właśnie prowadzi wobec Arabów politykę; czyni to i w naszym interesie: czyni to w interesie wszystkich, którzy chcą, by Rosja w przyszłym konflikcie nie zwyciężyła. Natomiast Ameryka hałaśliwym angażowaniem się po stronie Izraela popełnia wielkę nieroztropność!

Czy mamy więc sympatiami opowiedzieć się w sprawie palestyńskiej po stronie Arabów?

Nie. Tego nie powiedziałem. Jestem tylko przeciwny takiemu ostentacyjnemu deklarowaniu się po stronie Izraela, jak to uczynił p. Zbyszewski.

Wydaje mi się, że najwłaściwszą naszą wobec sprawy palestyńskiej postawą jest postawa całkowitej neutralności.

*

TRZECIĄ rzeczą, którą chcę tu poruszyć, jest artykuł St. Sopickiego „Katolicy niemieccy a Polska". P. Sopicki pisze: „Czy wierzymy w głębszą przemianę duszy niemieckiej, czy nie, nie odtrącajcie tych, co wyciągają rękę do zgody". Oraz „Uszanujmy ich szlachetne wysiłki, uznajmy ich dobrę wolę".

Stanowisko teoretycznie bardzo słuszne. Ale czy odpowiadające rzeczywistości praktycznej? Tych szlachetnych wysiłków i tej dobrej woli widać jest po stronie niemieckiej niesłychanie mało. Niemieccy katolicy potępieją komory gazowe i inne tego typu zbrodnie. Ale skoro są katolikami, czy mogą tego nie potępiać? Czynią to zresztą i tak dziwnie półgębkiem. Natomiast czy wielu jest niemieckich katolików, którzy rzeczywiście „wyciągają rękę do zgody" — z Polską? — To znaczy, nie tylko potępiają platonicznie to co się już stało i czego się nie da odrobić, ale oświadczają, że należy się Polsce od narodu niemieckiego za to wszystko poważna polityczna rekompensata? Rekompensata — terytorialna?

Modus vivendi między Polską a narodem niemieckim jest konieczny. Ale postawą jego musi być rzeczywista dobra wola obu stron. Nad wytwarzaniem tej dobrej woli należy pracować! Niestety jednak po stronie niemieckiej poważnych oznak tej dobrej woli jak dotąd nie widać!

*) *W następnym numerze ŻYCIA ukaże się w tej samej sprawie artykuł polemiczny p. W. Wasiutyńskiego.*

Z LISTÓW DO REDAKCJI

KATOLICY I PALESTYNA"

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule dyskusyjnym p. t. *Katolicy i Palestyna*, Pan Zbyszewski podaje powody, dla których pozytywne ustosunkowanie się do państwa Izraela leży w interesie Kościoła. Kościół jednak jest stróżem moralności i w odróżnieniu od partii politycznych nie może oceniać wydarzeń tylko pod kątem widzenia swych wpływów i interesów. Pan Zbyszewski wie o tym, ale Jego próba uzasadnienia moralnej słuszności polityki Izraela *jest najsłabszym punktem artykułu.*

Kościół nie może powtórzyć za Panem Zbyszewskim: „Nie wchodzę w tej chwili w sprawę krzywd wyrządzonych przez Żydów i cierpień ludności arabskiej". Nie można też przyjąć bez poważnych zastrzeżeń zasady, że „prawa do terytorium nie są zjawiskiem fizycznym, ale psychicznym. Mieszczą się w duszach i umysłach ludzkich".

Ta zasada pozwala na subiektywne usprawiedliwienie każdego zeboru, z zaborem Lwowa i Wilna włącznie. Któryż najeźdźca nie znalazł w swoim umyśle i swojej duszy psychicznego „prawa" do zagrabionych ziem? Czy wypędzeni Arabowie nie mieli zarówno fizycznych, jak i psychicznych praw do swoich siedzib?

Moralność katolicka powinna dać nam obiektywny miernik oceny. Przekonanie jednej ze stron o własnej słuszności może być tylko jednym z czynników branych pod uwagę w takiej ocenie, ale nie ostatnim słowem.

Zaborcza polityka żydów palestyńskich jest moralnie zła. Jeśli wywody Pana Zbyszewskiego na temat skutków powstania państwa Izraela są słuszne, to możemy powiedzieć, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Ale nie starajmy się zła usprawiedliwiać.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Andrzej Malkiewicz

143, Warender Park Rd.
Edinburgh 9

PRZYPOMNIENIE

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 12/91 na stronie 8 przeczytałem artykuł p. Aleksandra Korsaka „Narody Islamu".

Godząc się w zupełności z treścią artykułu i ze zdaniem Autora, że Polska powinna żyć w przyjaźni ze Światem Muzułmańskim, pragnę podzielić się z Nim *następującą uwagą.* Będąc starym kawalerzystą i zajmując się historią jazdy, odnalazłem w Bibliotece Wojskowej w Warszawie w 1934-tym roku „Rossyjską Wojskową Encyklopedję", wydanie niezakończone (tylko do litery „M" włącznie), sprzed 1914 roku. Odnalazłem tam dokładny *opis bitwy na Polu Kulikowym:*

„Bitwę poprzedziło zawarcie koalicji w 1380 roku przez W. Księcia Litwy Jagiełłę, Chana Tatarskiego Mamaja i Księcia Razani Olega. Chodziło o rozbicie wzmacniającego się zbytnio Księcia Moskwy Dymitrego (póżniej mającego przydomek Doński). Sprzymierzeni mieli uderzyć jednocześnie na Moskwę. Chan Mamaj pierwszy nadciągnął i przeszedłszy Don, który tam nie jest szerokím, stanął na terenie późniejszego powiatu Epifańskiego guberni Tulskiej w miejscowości przezwanej później Polem Kulikowym.

Tu spotkały go wojska Moskiewskie. Nie czekając na nadejście Litwy, Mamaj przyjął bitwę. Bitwa była b. krwawa i zwycięstwo w pewnej chwili przechylało się w zupełności na stronę Tatarów. Widząc to wprowadzili oni do boju swoją rezerwę. Moskwa jednak przyjąwszy taktykę Tatarów, miała również ukrytą rezerwę „Storożewoj połk w Zielenoj Dubrawie" pod dowództwem jednego z Książąt: Ów pułk wypadł znienacka i uderzywszy na rozsypanych już Tatarów, którzy nie mieli już więcej rezerw, dał zwycięstwo Moskwie. Mamaj uszedł tylko dzięki wypoczętym jego koniom. Moskwa po powrocie z pościgu, rozłożyła się obozem na polu bitwy. Straty jej były również ogromne.

Teraz następuje chwila, która zaważyła w historii. *Podjazdy Litwy, które w dniu bitwy były tylko o 20 wiorst od miejsca boju, cofnęły się.* Wlk. Książę Jagiełło zamiast uderzyć na zupełnie wyczerpaną Moskwę, o czym pewnie nie wiedział, cofnął się również, a Książe Razani Oleg wogóle nie wystąpił. Słusznem więc jest, że o ile by bitwa była rozegrana o jeden — dwa dni później, zważywszy szybkość ruchów ówczesnej jazdy, rezultat musiał być odwrotny, i Moskwa nie powstałaby więcej".

Tym przypomnieniem chciałem się podzielić z Szanowym Autorem prostując tylko „rok 1480 i Kazimierz", zapewne omyłka w druku.

Pozostaję z uszanowaniem

J. Romocki

Obóz Penrhos n/r Pwllheli
Caernarvon's

ŻYCIE, KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - SPOŁECZNY

Wydawca:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

Redaguje Komitet pod przewodnictwem ks. T. Kirschke.

Adres redakcji i administracji:
POLISH WEEKLY „ŻYCIE" — 12, Praed Mews, London, W.2
Telefony: Redakcja — AMB 6879. Administracja — PAD 9734.

Redaktor przyjmuje: po uprzednim telefonicznym porozumieniu.

Administracja czynna: codziennie od godz. 9 do 13 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata: płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/- **Wszelkie wpłaty:** przekazywać należy Postal — lub Money orderami wzgl. czekami bankowymi „crossed" i wystawionymi na **VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Ceny ogłoszeń:** 1 cal przez 1 łam £ 1. W tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Za treść ogłoszeń nie przyjmuje się odpowiedzialności. **Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie:** f-ma THE CARLTON BERRY CO LTD., Grand Buildings-Trafalgar Square, London, W.C.2. Telefon ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press"
12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD. 9734.